

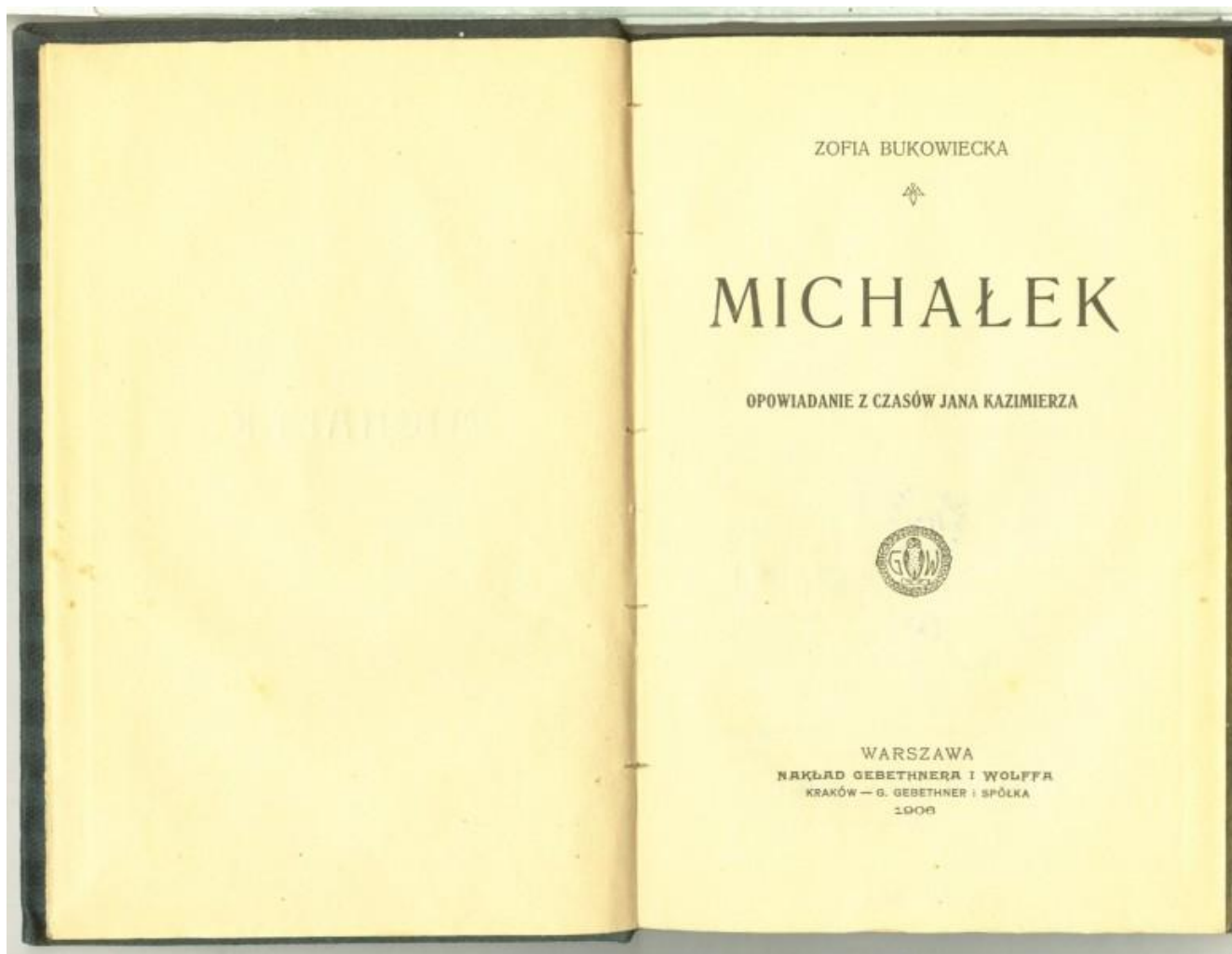


Bukowiecka Zofia

*Michałek : opowiadanie
z czasów Jana
Kazimierza*





— Melduję jegomości, jako wdowa po cieśli, Wojciechu, Maryanna, umarła dzisiejszej nocy— mówił do proboszcza zakrystyan. Sługiwał on za młodu w wojsku, a na starość w Rudniku nad Sanem, o mil 20 od Lwowa mieszkał i przy kościele porządku pilnował. Zwano go Piotrem, że to łysy był i do świętego Piotra na obrazach podobny, u pasa zaś okrutne klucze nosił. Nie pamiętał, nikt z najstarszych ludzi, jakie było prawdziwe Piotra zawołanie, ale wszyscy w całej parafii szanowali zakrystyana za to, że uczciwie całe życie się sprawował, a za młodu ciurą, to jest sługą rycerskim przy wojsku polskim zostając, okrutnie ze Szwedami dokazywał i siłą ich narąbał, jako też dotąd szablę z tamtych czasów chował.

— Umarła! świeć Panie nad jej duszą! — odpowiedział probosz staruszek i zaraz potem dodał. — Trzeba godnie pochować nieboszczkę, trumnę niech w stolarni zbiją, dziadowi przykaż, żeby dzwonów nie żałował, a chłopaka sierotę wziąć na

plebanię.

— W smutku za mężem zesła ze świata — przerwał zakrystyan.
— Może i to być, we wszystkim wola Boża. Duszy Wojciecha nie zawadzi też wspomnieć przy śpiewaniu egzekwii, jemu nawet pacierz potrzebniejszy, niż nieboszczce, bo ona była bardzo pobożna kobiecina, a on nagłą śmiercią zginął.
— Za drugiego się zastawił i mężnie z niedźwiedziem potykał, to mu pewnie święty Michał, rycerz niebieski, mizerikodyę Bożą wyprosił. Proboszcz zgromił zakrystyana.

— Nie grzesznego człowieka sprawa Boskie wyroki badać i przesądzać, lepiej stokroć pacierz za umarłego zmówić. U ciebie, Piotrze, zawsze w starej głowie żołnierskie wróble siedzą. Pan Piotr chciał jeszcze bronić sławy kuma Wojciecha, ale się powstrzymał i nie odpowiedział ani słowa. Brzęknął tylko niecierpliwie kluczami i chwycił je w garść, jakgdyby szablą były, nie wiązką żelastwa. Pacholek przyniósł tymczasem świeżo wyczyszczonej sutannę i buty proboszcza. Ksiądz, siwy, jak gołębek, złożył książkę, z której odmawiał pacierze, zrzucił ciepły szarafan, bo wskazówka na zegarze dobiegała siódmej, a o tej godzinie od pięćdziesięciu z górą lat odprawiał jegomość mszę świętą i nigdy minuty nie chybił. Właśnie ozwała się sygnaturka, trzepocząc dzwonkiem na wieży kościelnej; zakrystyan znał swoje obowiązki, choć więc nagana proboszcza tkwiła mu jeszcze w pamięci, odchrząknął tylko gorycz z języka, zadzwonił ostro kluczami i poszedł do kościoła zapalać świece przed ołtarzem. Ale zaraz na progu czekała go nowa alteracja z babami, które w kruchcie pacierze odmawiały.

— Umiecie garść po tynfy do proboszcza wyciągać, a kościoła to dziś żadna nie zamiotła—łajał pan Piotr, bo wogóle nie lubił kobiet, im też przypisywał wszystko złe na świecie. Sam nigdy żenić się nie chciał, jedną Wojciechową szanował, a nawet z organiściwą wieczną wiódł kłótnię o komżę, której mu prac nie chciała, chociaż to był jej obowiązek.

Komżę przywdziewał zakrystyan, żeby do mszy służyć proboszczowi, bo żaden z chłopaków, zdaniem p. Piotra, nie umiał dość dobrze ministrantury. Stare kości odmawiały wprawdzie posłuszeństwa, ale wolał klęczyć na gradusach, niż słuchać z ławki, jak młokosy pędziwiatry pytlem recytują confiteor, a co gorsza,

na jaskółki od ołtarza zyzują, bo się ptaki pod kościelnym sufitem za muchami uganiały.

Żał było Piotrowi Maryanny, czy może wziął do serca naukę proboszcza, dość, że raz po raz wieczne odpoczyunki za zmarłą i jej męża odmawiał. Za cieślę Wojciecha jeszcze gorliwiej, niż za wdowę się modlił, gdyż szanował ludzi męznego serca, kalkulował zaś, że nie może inaczej być, tylko nawet w niebie święci pańscy milej spoglądają na zuchów, niż na tchórzy.

— Jegomość na tem znać się nie mogą, bo zwyczajnie, jak księdzu przystoi, ino pacierza patrzy; pan Łukasz brat jegomości, co z nim pod Kirchholmem na Szwedów chodziłem, ten przyznałby mi rację, świeć Panie, nad jego duszą — wzdychał pobożnie zakrystyan i, wspomniawszy dawnego swego dobrodzieja, zaraz na intencję Łukasza zaczął koronkę.

Z mężem Maryanny łączyło Piotra kumostwo, nie dlatego jednak był mu cieśla miły. Toż zdarzy się byle kpu dziecko do chrztu podawać, gdy o to ludzie proszą, a chrześcijańskiej usługi odmówić nie wypada. Wcale inna była przyczyna, że Piotr chętnie Wojciecha tabaką częstował i na pogwarę do stolarni zachodził. Przyjaciółmi wyrosli od dzieciństwa, obaj chłopskiego pochodzenia, do roli nawykli za młodu, tu w Rudnikach urodzeni i na księżej ziemi osiedli, okrutną okazywali do wojaczki ochotę. Piotrowi poszcęściło się, jak mało komu, bo brat proboszcza zabrał go z sobą na wyprawę daleko, aż hen nad samo morze. Mąż Maryanny nigdy zaś nie powąchał prochu, ale i tak sądzone mu było nagłą zginąć śmiercią i odwagę przytem okazać wielką.

Właśnie miano w boru spuszczać sosny na nowy wiatrak, bo stary burza wywróciła jesienią. Wojciech znał się dobrze na ciesielce, a wiadoma rzecz, że do wiatraka okrutną i zdrową belką wybrać należy, skoro ją młynarze królem nazywają. Pojechał więc Wojciech po króla, a że wtedy w lasach zwierza, i to niepośledniego, było dużo, nie nowina chłopu potykać się z wilkiem albo z niedźwiedziem, kazał parobkom zabrać nie tylko siekiery, ale i oszczep kowany, jako iż do dalekiego wybrali się boru. Nie przeczuwał cieśla nic złego, bo wesoło żegnał żonę i syna Michała, który mu się na wielki dziw w późnym wieku urodził, kiedy już wprzód kilkoro dzieci był w ziemi pogrzebać musiał, z okrutnym żalem swoim i żony.

Kochał też Wojciech chłopca i uważał sobie jedynaka, jako to oko w głowie, ale dziś na odjezdnem wcale żadnego smutku nie okazywał, chociaż Michałek do ojca się przymilał i napraszał, żeby go tatulo wziął z sobą drzewo w lesie znaczyć.

Wesół był Wojciech, ręce zabijał od dokuczliwego mrozu, a hukał, aż mu drzewa poniektóre echem odpowiadały. Czy lichy zbudził hukaniem, czy źle wypłoszył, dość, że, gdy właśnie, na sośnie siedząc, drzewa grubość mierzył, wypadł z gąszczy okrutny niedźwiedź z wywalonym ozorem, z kłami, które błyskały w pysku, jak lipowe grabie. Zziajane było niedźwiedzisko i wściekłe, snąc ruszyła go obława z jamy, w której się na zimę zakopał, przed ludźmi uciekał i niespodziewanie znów na ludzi trafił, to słusznie w złość wpadł.

Chwycił parobek za oszczep, ale zamiast zwierza nim ugodzić, jako że tchórzliwego był serca, nawrócił w miejscu do sani i uciekł, a miś tymczasem stanął na tylnich łapach, przednią zaś sięgnął do drugiego robotnika. Byłby mu, jak nic, zdarł skórę z głowy, bo drasnął już pazurami czuba, kiedy cieśla, nie pytając na niebezpieczeństwo, zsunął się z sosny i siekierą zmierzył zwierza między ślepie. Ryknął niedźwiedź, gdyż niezgorzej przejechało go żelastwo przez łeb, ale snąc tem okrutniejsza porwała teraz misia złość, bo przysiadł z bólu na zadzie, rozwarł paszczkę, choć krew z kudłów płynęła strugą, skoczył całą siłą naprzód i, nim Wojciech drugi raz zamachnął siekierą, obłapił wpół cieślę, do śmiertelnego zapraszając go tańca.

Kolebali się przez chwilę zwierz z człowiekiem. Wojciech rzucił siekierę i gołemi rękoma dusił niedźwiedzia w żylastych palcach, ale, choć chłop był mocny, jak rzadko znaleźć, a zwierz ranny, nie strzymał człek biedaczysko, krew żygnęła mu ustami, żebra zaś trzeszczały, jak chróściany płot. Miś dusił i dusił tymczasem, o nic już nie pytając, aż porzucił wreszcie na śnieg nieżywego Wojciecha i, pomruczawszy chwilę nad trupem cieśli, uciekł w las skowycząc. Zwierzowi też może przyszło potem zdechnąć w gąszczu, bo rana, co mu ją kmieć zadał siekierą, była okrutna.

Drugi parobek latał tymczasem po lesie, jak opętany, i krzyczał, wołając ratunku. Głupi chłop, toż przecie buki ani chojary, choć tęgie i wyrosłe, pomocy zabitemu udzielić nie mogły. Kogo śmierć schwyci, tego twardo w łapach trzyma, żadnego

pofolgowania nie dając, nie pofolgowała też i Wojciechowi, choć żona Maryanna łamała nad umarłym ręce, a syn Michałek dzień i noc buczał przy ojcu bez przestanku, obiecując zabić wszystkie niedźwiedzie, jakie ino po świecie chodzą. Zwyczajnie, niemądre gadanie, które jednak sierocie w żalości ulżyło. Pochowano cieślę przystojnie, niczego nie żalując nieboszczykowi. Zakrystyan okrutnie nad kumem lamentował, a dziadowi przykazywał tak siarczyście bić we dzwony, żeby aż w niebie usłyszeli, że sprawiedliwa dusza do świętych progów idzie. Zniósł jednak Piotr frasunek po przyjacielu mężnem sercem, jak na żołnierza przystało, i potem nawet nieraz przyganiał Maryannie za to, że sobie zbytnio śmierć męża do głowy przybiera, zamiast na chłopaka mieć baczenie. Prawdę mówił Piotr. Nikt Michałka od psich figłów nie odzwyczajają, nikt mu pasem ojcowskim skóry nie ściągał, to też urwis cały dzień światem gonił, a że z przyrodzenia gorączka i hardus był okrutny, to bijatyki na błoniu raz po raz zaczynał. Bali go się pastuszkowie, jako najmocniejszego ze wszystkich chłopaków, jakoż nad wiek dał mu Bóg siły. Matce z lasu taką więź chróstu potrafił przynieść, coby się pod nią setny parobek ugiął, a gdy raz byk na pastwisko wypadł i rogami dzieciakom groził, to jeden tylko Michałek nie uciekł z błonia. Owszem, zastąpił zwierzowi drogę, worek mu na oczy zarzucił, a potem dosiadł go, jak konia, i do obory wierzchem na byku dojechał, czemu się sam ksiądz proboszcz wielce dziwował.

Serce miał Michałek dobre, ostatni kawałek chleba głodnemu oddał, a jak nie wiedzieć o co w złość wpadał, tak też i prędko gniew go mijał, że gotów był nad tym, którego pobił, rzewliwie buczeć, zwyczajnie raptus, zawadyaka. Matkę i Piotra, jako swego chrzestnego ojca, bardzo kochał, ale matką niedługo się cieszył, bo wdowa z żalości po mężu w ciężką chorobę wpadła, nic, tylko dychała a schła, jako te wióra, co je Wojciech w stolarni heblem z deski strugał. — Już ja cię robaku, odejdę, a do mego na tamten świat się wyproszę — mawiała Maryanna do Michałka; marła w oczach, że prawie samo chcąc łzami lampę życia gasiła, czyniąc nieledwie, jako czyniły dawniej w Polsce wdowy pogańskich rycerzy, które razem z zabitym mężem na stos szły i żywcem palić się kazały. Więc też przyszedł taki dzień, że wdowa sama śmierć swoją przewidziała, księdza

wikarego o ostatnie sakramenty poprosiła, Piotrowi opiekę nad synem zdała i dopiero, do łóżka się układwszy, czekała ostatniej godziny, jakoż istotnie o zaraniu, z pobożną pieśnią na ustach, snem wiecznym zasnęła.

Proboszcz niedarmo przykazywał, aby Maryanna była pochowana godnie, jak przystało pobożnej, z dziada pradziada tu osiadłej żonie kmiecia. Dzwonów nie żałowano, ołtarz jarzył się od świec, trumna była czarna, z wybitym na wieku krzyżem ze świecących goździków, a za trumną matki leżał Michałek krzyżem i płakał tak, że od sierocego szlochania, od sierocych łez przemokła kościelna posadzka. Zakrystyan z organistą śpiewali tymczasem egzekwie przed wielkim ołtarzem, ale Piotr raz po raz wycierał nos kraciastą chustką, aż się po kościele rozlegało, i na Michałka spoglądał. Chwytało go coś za gardło od tego sierocego buczenia i ulżyło mu dopiero wtedy, kiedy ślub uczynił, że chłopaka nie opuści, ojcem mu będzie najlepszym i, da Bóg, na uczciwego człowieka a dobrego sługę dla króla polskiego Jana Kazimierza wychowa.

Bo działo się to w tych czasach, kiedy naród nasz sam sobie królów wybierał, kiedy miał wielkie wojska rycerzy i bronił się niemi od każdego, kto by chciał w granice Polski wejść, a kawałek naszej ojcowizny urwać. W miastach, po urzędach i szkołach sami Polacy siedzieli, nikt też innego słowa nad swoją przyrodzoną a ojczystą mowę nie słyszał. Rządził się naród, jako sam chciał, posłów na sejm do Warszawy albo do innych miast polskich wysyłając, i tam społecznie się naradzając, gdzie w kraju jaki porządek zaprowadzić należy. Porządek ten psuł się już wprawdzie potrosze, bo tak na świecie bywa, że, gdy komu dobrze, to szanować swojej doli nie umie, psuł się zaś porządek w Polsce z jednej przyczyny. Oto za pierwszych naszych praojców wszyscy obywatele, czyli mieszkańcy kraju, byli także równi, wszyscy w zgodzie ziemię orali i jeden się nad drugiego nie wynosił. Dopiero kiedy Niemcy do naszej Polski, jak do cudzej obory, włązić zaczęli i ludzi na postronek brali, a w niewolę do siebie ciągnęli, dopiero wtedy musieli Polacy rozdzielić między siebie robotę. Jedni tedy orali dalej ziemię, żeby nie brakło chleba narodowi, a drudzy na koń siadali i, czem popadło, Niemca od naszych granic odganiaли. Zawsze zaś śmielszy jest ten, który mieczem wywija, niżli ten, który, do ziemi zgięty, pług po roli prowadzi. To też kmiecie z mieczami nabrali wielkiej

hardości, bo i byli zuchy, co się zowie; dzień i noc pędzili sąsiadów od granic. A trzeba wam wiedzieć, że nałazili nas różni Niemcy, Krzyżacy, Prusacy, Pomorzanie, później znów poganie Tatarzy, że i zliczyć tej émy niepodobna, która się do Polski po nasze dobro pchała. Wojaków nazywano potem szlachtą, szlachta zatem dzień i noc czuwać musiała, żeby na każde zawołanie króla lecieć do tej granicy, od której wlaził rabuś, i wyganiać go, skąd przyszedł. Nie było wtedy takiego wojska umundurowanego i z jednakową bronią, jako dziś, tylko szlachta siadała na konia i pędziła z szablą na nieprzyjaciela, a król albo wódz, co go hetmanem nazywano, dowodził wszystkimi rycerzami. To było jednak złe, że rycerze zapomnieli, jako braćmi są tych kmieci, którzy orali ziemię, i zaczęli nimi gardzić, przechwalając się, iż lada kto potrafi za pługiem chodzić, a krew swoją i życie za Polskę dać nie każdy rad. Zaczęli też rycerze w hardości swej upominać się o coraz większe dla siebie prawa, gdy zaś król się temu sprzeciwił, to mu zaprzeczali władzy i zgoła słuchać go nie chcieli. W każdym kraju trafi się takie popsowanie narodu, u innych ludów było jeszcze daleko gorzej, a jednak powoli naprawiali sobie ład w domu i nikt im w tem nie przeszkadzał; u nas jednak stało się inaczej. Zaraz różni sąsiedzi zaczęli się zwiadywać, że w Polsce zgody niemasz, i dalej zaczynać z nami zwadę, żeby kawał ojczyzny albo bodaj i całą zabrać. Najpierwsi weszli do nas Niemcy i już nie dali się wygonić, owszem, coraz dalej leźli w kraj, jako, nie przymierzając, nierogaczna, której jeśli z miejsca nie nawrócisz, to ci całą niwę spyskuje. Ale Niemcom było przynajmniej blisko, bo siedzieli tuż pod bokiem, cóż jednak na to powiecie, że aż z za morza przyplłynął naród, który Szwedami nazywają, i chciał Polskę zabrać. Na złe to wyszło rabusiom, bo znalazł się wtedy wielki rycerz Chodkiewicz, który umiał matkiojczyzny bronić i Szwedowi skórę wykropił pod wsią Kirchholmem. Tam ich król mało się w morzu nie utopił, a potem z całym wojskiem tak zmykał, że byłoby się za nimi kurzyło, ale przez wodę uciekali, to i ślad po nich nie został. Na tej to właśnie wojnie był w swej młodości Piotr. Nie miał on prawa do rycerskich honorów, bo kmieciem się urodził, nie szlachcicem, służył więc tylko pod panem Łukaszem, bratem proboszcza z Rudnika. Takie sługi rycerskie nazywano ciurami. Zazwyczaj ciurowie czyścili tylko broń i konie szlachty, pod

Kirchholmem jednak, gdzie szwedzkiego wojska było dużo, a polskich rycerzy mało, śludzy wespół z panami stanęli do bitwy, tak zaś ochotnie na rabusiów nacierali, że sam hetman Chodkiewicz chwalił ciurów dla ich odwagi. Dał więc Piotr już dowód, jako potrafi nie żałować krwi za matkęojczyznę, a choć na starość wojenki zaniechał i zamiast szabli kościelne klucze do boku przypasał, kochał Polskę, jak każdy prawy obywatel kochać powinien swój kraj, biorąc zaś Michałka w opiekę, chciał i jego także wychować na dobrego Polaka. Świącie też obietnicę spełnił; zaraz po pogrzebie Maryanny wziął sierotę do swojej izby, ale przekonał się wkrótce, że chłopaka tylko w stajni utrzymać potrafi. Miał Michałek z dzieciństwa dziwne do koni upodobanie, a że proboszcz nie zgorsze chodował stado, sierota więc wymykał się na błonia i spoglądał łakomie po źrebcach, których mu koniuchy dosiąść broniły. Tak upłynął rok. Na prośbę zakrystyana został wreszcie Michałek przydany do pomocy stajennym, konie czyścił, słomę pod nie słał, owies ze śpichlerzyka nosił, było tego znów rok. Przez ten czas udało się wielokroć chłopcu dosiąść źrebaka i gnać oklep na błonie z rozkazem proboszcza albo stajennego. Ile guzów na głowie nosił, tego nikt nie zliczył, mało czy wiele, nieraz przez łeb koniowi zleciał i leżał potem, jak martwy, na twardej ziemi. Kiedyindziej ledwie siebie i źrebca nie zabił, bo wpadł z koniem w głęboki jar, przy innej okazji cudem tylko nogi ocalił; zaplątał je bowiem między żerdziami, przez wysoki płot skacząc, za co od starszego stajennego tęgo po karku dostał. Nie zważał jednak ani na guzy, ani na szturchańce, które często za swe zuchwalstwo z końmi obrywał. Nawet nie płakał wtedy, jak mu się zdarzało buczeć, kiedy na nędzę ludzką patrzył, skurczony pod pięścią dozorczy, pędził z powrotem do stada. Za to nauczył się konno oklep jeździć, a tak mocno szkapy trzymać, że nie oderwać go było od źrebca, jak nie oderwiesz ostu, który się na ściernisku do sukmany przypnie.

Martwił się Piotr szaleństwami chłopaka.

— Trzeba ci było szlachcicem na świat przyjść, wojny próbować z rycerzami, a tak zginiesz pod kopytem pierwszej lepszej szkapy — mawiał stary. On byłby chciał Michałka na zakrystyana sposobić, ministrantury go uczyć, cóż kiedy dobre zamiary opiekuna szły na marne, bo chłopak nie dał sobie łaciną głowy zaprzętać i, choć

pokornie całował rękę chrzestnego ojca, to jednak nauki jego mimo uszu puszczał. Za to po dwu latach praktyki przy starszym nad końmi umiał już Michałek źrebce objeżdżać, jak żaden ze stajennych, najdzikszemu wierzchowcowi radę dał, a choć zdarzało się, że koń potargał na nim ubranie, nawet czasem w złości zębami za ramię schwytał, sierota ustraszyć się tem nie dał i w końcu zawsze na swoim postawił, więcej łagodnością, niż batem, sobie pomagając.

Znalazł jednak Piotr sposób na poskromienie urwisa. Ile razy Michałek wracał od stada ściarany i brudny, że pożalić się było tego przyodziewku, który mu opiekun sprawiał, ile razy zwłaszcza wstyd zakrystyanowi zrobił w kościele obtarganym kozuchem, zawsze jednym groził stary:

— Nigdy ci już, Michałku, nie będę o Szwedach gadał—i Michałek pokorniał, jak trusiątko, całował zakrystyana w rękę a choć brała go ochota uciec do stada, to tylko ukradkiem ku koniom spoglądał, cierpliwie zaś nauk Piotra słuchał, byle posłuszeństwem wprowadzić go w dobry humor i dowiedzieć się raz jeszcze, jak to było pod Kirchholmem, kiedy hetman Chodkiewicz topił Szwedów w morzu. — Szwedzi uciekali przed naszymi, bo ich tego prali, i wyśta prali też, prawda, tatulu? — przymilał się Michałek, który ojcem Piotra nazywał.

— Juści że uciekali, co ino mieli sił, bośmy im tego na pięty następowali. Woleli w wodę skakać, jak żaby, żeby się prędzej do okrętów dostać, niż łby na polskiej ziemi zostawić.

— A duża była ta woda, tatulu, tyla, co nasze błonie?
— Głupiś! mówiłem ci, okiem nie przejrzysz z brzegu do brzegu. A trza, abyś wiedział, że ta woda gorzka jest, słona, całkiem paskudna, ani wytrzymać w gębie, tylko wypluć musisz.

— Konie zaś też tej wody pić nie chciały?

— Ale! gdzieby ta piły. Tobie tylko konie we łbie, wolałbyś pytać o pana hetmana Chodkiewicza, o szlachtę albo zgoła o nas, ciurów, bo, nie chwaląc się, skroiliśmy tęgą kurtę Szwedom.

— Zaraz będę pytał, ino przody powiedzcie jeszcze, na jakiej szkapie jechaliście na wojnę?

— Nie mówię ja, Michałku, żeś ty ze wszystkim przy koniach zgłupiał? Jechałem

na siwej kobyle, co mi ją pan Łukasz dał, ale się potykała, więc sobie potem złapałem kasztana po zabitym Szwedzie. Okrutny był koń, pewnie jaki wielkolud na nim wprzód siadywał, z dziesięć albo i więcej lat w proboszczowskiej stajni się chował.

— A rzeknijcie jeszcze, czy Szwedy wszystkie takie wielgaśne są, jako ten, po którym wzięliście kasztana? — pytał Michałek.

— Różni się między nimi trafiają, są chuderlawi, ale są też chłopcy na schwał. Wielkie pióra do kapelusików wtykają, to im wzrostu przydawa, a buty takie szerokaśne noszą, coby w każdy pół cebra wody nalał.

— Gadajta, tatulu, od początku, jak to było z tą wojną — prosił się chłopak, pokornie całując zakrystyana w rękę. Więc udobruchany Piotr poklaskał sierotę po głowie, zażył tabaki i tak prawił:

— A bo ci to raz opowiadałem albo dwa, a ty się zawsze napraszasz. Niech będzie po twojej woli, rzeknę i dziś, ale pamiętaj, co przykazuję, żebyś mi się nie ważył w podartem odzieniu do kościoła przychodzić. Wstyd człowiekowi ślepią na ludzi podnieść, bo mi byle kiep złe opiekuństwo wytknie.

— Szwedów bijaliście, tatulu, a na kpów zaś zważać macie. Nikomu nic do mnie, sieroty, niech się kto poważy przeciw nam sporzykać, to tak zamaluję, że se do śmierci wspominać będzie. Okrutnieście dobrzy dla mnie, biednego. Tu Michałek chlipać zaczął i lzy garścią obcierać, bo się rozczulił nad swoim losem i nad miłosierdziem opiekuna. Buczał dobrą chwilę, gdyż Piotr nie mógł jakoś dziś długo zapomnąć despektu, który mu chłopak zrobił, świecąc w kościele zdartą na szmaty sukmaną. Zażył też jeszcze raz tabaki, kichnął okrutnie, i to mu dopiero ulżyło. Udobruchał się już widocznie, bo łaskawiej spoglądał za chłopakiem, siadł wreszcie na przyźbie, nogi rozstawił szeroko, jak gdyby miał jeszcze pod sobą siwą kobylę, która mu z początku wojny służyła. Spojrzał łaskawiej na Michałka i zapytał nagle:

— A wiesz ty, urwisie, co znaczy: wojna? co hetman? co król pan nasz najmiłościwszy?

Michałek zaczerwienił się z radości, poznał, że opiekuna w dobry humor wprowadził i że Piotr gadać teraz będzie choćby do wieczora. Nie zdradził jednak

po sobie uciechy, tylko, ucałowawszy znów rękę starego, odrzekł skromnie:
— Skąd zaś mam wiedzieć, jeśli wy, tatulu, nie będziecie gadali.
— No, dobrze już, dobrze, przychlibiać się umiesz, a niech cię tylko koński pot zaleci, to na nic nie pytając, pognasz głupi do źrebców. Taka już koniuchowska w tobie natura, że ino ci całe życie na pastwisku leżeć i za końskimi ogonami spojierać, kiedy, na to mówiąc, mógłbyś po mnie zakrystyańską godność piastować i uważanie u ludzi mieć.

— Nijakich ja po was godności nie łakomy, żyjta, tatulu, sto lat albo i więcej, jeśli Pan Jezus dozwolą.

— Pewnie, że stu dożyć mogę, jak nieboszczyk ojciec, krzepkie jeszcze we mnie siły, choć już siedmdziesiąt pięć roków łońskiego lata skończyłem i idzie mi na siedmdziesiąty szósty — mrucał Piotr, patrząc z lubością na swoje nogi, które nie puchły od starości i służyły dobrze.

Zapatrzył się, to i o opowiadaniu zapomniał. Michałkowi przykrzyło się darmo na przyźbie siedzieć, tracił więc opiekuna w bok i zagadał:

— Mieliście to przecie, tatulu, o wojnie, o hetmanie i o królu naszym prawić.

— Gadam już, synku, gadam, jakom rzekł, tak dotrzymam, inom kalkulował w głowie, ile to lat od tej szwedzkiej wojny, na którą mnie pan Łukasz zabrał. Widzisz, było tak. Sługiwałem na plebanii, jako ty, Michałku, a ministranturę tom już ekspedyte umiał, ale zwyczajnie, młody byłem, głupi, też jako nie przymierzając ty, Michałku, więc mi okrutnie szkapy pachniały i wolałem źrebce na błoniu ujeżdżać, niż jakowej innej roboty się imać. Pan Łukasz przyjeżdżał do swego brata, niby do jegomości, który właśnie wtedy na plebanię po nieboszczyku księdzu się sprowadził. Widział mnie, jak co najdzikszego źrebca objadę, i z tego mu się spodobałem, świeć, Panie, nad jego duszą. Raz po raz tu do nas do Rudnika przyjeżdżał, a niech się tylko pokaże na drodze koło kościoła, to ja już pędzę konia potrzymać, bo wedle tego, co się rzekło, też byłem do szkap ciekaw, nie taki przecież urwis, jak ty, Michałku, który żadnego pomiarkowania we łbie nie masz. Tu zakrystyan chwycił w palce szczyptę tabaki i spojrział groźnie na swego wychowanka, kiedy ten jednak nic nie odpowiadał ku swojej obronie, owszem, pokornie spuścił oczy, udobruchany tatulo mówił dalej:

— Okrutnie mnie tedy pan Łukasz polubił i, gdy na szwedzką wojnę wołali, a on żegnać brata księdza przyjechał, powiedział niewiele myślący:

— Udałeś mi się, Pietrek, żaden z moich parobków nie jest taki do koni zmyślny, jako ty, gdyby, na to mówiąc, brat jegomość pozwolił, wziąłbym cię z sobą na wojnę, bo jadę Szwedów zdrajców tłuc, którzy się przeciw naszemu królowi Zygmunтови opowiedzieli i na Polskę walą.

— Tak rzekł, a ja, ino to posłyszę, jak nie przypadnę proboszczowi do nóg, jak nie zacznę molestować a szlochać, żeby mnie na wojnę puścił. Napraszał się o to samo pozwolenstwo i twój ojciec, bo trza ci wiedzieć, obaj od maleńkości okrutną mieliśmy do wojaczki ochotę, ale Wojciechowi proboszcz pozwolenstwa nie dał, to doma ostać się musiał.

— A wy poszliście — dopowiedział Michałek, który nieraz słyszał już początek opowiadania i pilno mu było dowiedzieć się dalszych szczegółów wyprawy na Szweda.

— Pewno, że poszliśwa obaj z panem Łukaszem, to jest — poprawił się Piotr — głupio za tobą przytaknałem, bo przecie nie poszliśwa, tylko pojechali pięknie, co się zowie, pan Łukasz na karym wałachu, a ja na siwej kobyle. Stara była, ale okrutnie pleczysta, że cały pański toból leżał u niej na zadzie, jak nie przymierzając na stole, ino ten był w niej feler, co się często potykała.

— Tedy jechaliśmy najprzód do Leżajska, które to jest święte miejsce, pan Łukasz trzy msze zakupił i, krzyżem leżąc, wszystkich trzech wysłuchał, a ja się tam ofiarowałem całe życie piątki suszyć, byle mi Pan Bóg dopomógł na wojnie, żeby se lepszego konia mógł gdzie zdobyć i Szwedowi jakie bądź szablisko z ręki wydrzeć.

— To się wam, tatulu, tak szwedzkiej szabli zachciało? — pytał Michałek, a oczy chłopaka błyskały, jak ślepie u kota, kiedy w nocy z przypiecka złazi.

— Juści, że mi się szabli chciało, bo pan Łukasz miał przy boku wielkie szablisko, a ja nic, ino te pańskie toboły, co ich pilnowałem dzień i noc.

— A jakżeście to Szwedowi szablę odebrali, tatulu? — pytał znów Michałek. Chciał jeszcze coś rzec, ale nie mógł tchu złapać, tak go zatknęło w piersiach na myśl o szabli, bo Piotr dawał mu czasem szwedzkie szablisko, które wisiało nad

łóżkiem zakrystyana, przypasać jednak do boku nie pozwalał i zaraz na dawne miejsce wieszał.

— Czekaj, przecie bez pomiarkowania gadać nie będę. Najprzód tedy kiedyśmy z Leżajska wyjechali...

Miał dalej mówić Piotr, ale nagle ozwały się dzwony na nieszpór, i zakrystyan skoczył z przyźby, bo należało kościół otwierać, a potem kapę przyładować i krzesło dla proboszcza przed ołtarzem ustawić.

Michałek podrapał się w głowę, zaturbowany, westchnął ciężko raz i drugi; gdyż zmiarkował zaraz, że już dziś tatula na przyzbę drugi raz nie złapie, nie usłyszy więc o tem, jak to Piotr całą niemal Polskę z południa ku północy przejechał na siwej kobyle, zanim się nad morze dostał, gdzie Szwedzi już ze swych okrętów wysiedli i okrutnie naszą ojczyznę pustoszyli. Michałek nie sto razy powtarzał za opiekunem każde słowo o sławnej wojnie pod hetmanem Chodkiewiczem, więc też teraz, wracając na pastwisko, mało głową w stodołę nie wyrzwał, bo drogę zmylił, a wciąż między zębami mamrotał, co od zakrystyana słyszał.

— Szwedów była ćma, a nas garść. Zląkł się poniektóry Polak i pyta starszego: Wielu też Szwedów być może? — starszy zaś mówić nie waży się przy hetmanie, więc sam hetman powiada:

— Porachujemy szelmów, jak ich pobijemy. Okrutnie się Michałkowi ta odpowiedź hetmana Chodkiewicza podobała.

— Bo i prawda — myślał stajenny—jakoż to będziesz żywych liczył, a bo to był na to czas? Potem wcale co innego, potem leżeli Szwedzi pono, niby te porżnięte barany, mogłeś rachować, ileś chciał, żaden się nie ruszył, choć im ciurowie siabliska z łap wydzielali, jako, na to mówiąc, i tatulo wydarł swoją szablę. O ciurach najchętniej Michałek rozmyślał. Nie była to przecie szlachta ani rycerze, tylko chłopscy parobcy, albo w tych samych, co on, latach, albo mało wiele starsi.

— Hetman, to jest, ma się wiedzieć, ten Chodkiewicz, który nad wszystkim wojskiem miał dowództwo, kazał ciurom dać broń. żeby pomagali bić Szweda, bo była tych szelmów okrutna moc — przepowiadał sobie dalej Michałek opowiadanie zakrystyana i znów tak drogę zmylił, że mało co w rów koło błonia nie wpadł. Ale fantazyę miał zawsze bardzo dobrą i mamrotał dalej pod nosem.

— Który zaś z ciurów szabli nie dostanie, niech sobie ją sam z łapy Szwedowi wydrze — powiedział hetman i tak pono życzliwie na parobków wejrzał, że każdyby za nim w tę okrutną słoną wodę leciał. Mało też który z ciurów. O broń się prosili, ino, co mógł, siekierę albo li choć kłonicę z wozu chwycił i Szweda nią przez łeb walił, a gdy go już śmiertelnie zmacał, to mu szablisko odpasywał, krzyżem świętym zegnał, żeby złe odgonić od żelaza, które wprzód szelmom służyło i zaraz tą samą szablą Szwedom po karkach śmigał. Całe to opowiadanie o wojnie umiał Michałek tak dobrze, jak pacierz. Pamiętał też i to chłopak, że tatulo, wracając z wojny, widział w Warszawie własnymi oczami samego najmiłościwszego króla polskiego Zygmunta.

— Siedział król — powiada tatulo — na złocistym tronie, w złocistej koronie, a panu Łukaszowi, jako i innym wojakom, rękę do pocałowania dawał, na wszystkich zaś wdzięcznie spoglądał, co się aże w sercu cknęło z wielkiego ukontentowania.

Wiedział też i to Michałek, że król Zygmunt dawno umarł, umarł właśnie syn królewski Władysław, który ojcu pomnik postawić kazał, co go jeszcze i dziś w Warszawie oglądać można. Gospodarzem i królem polskim był za czasów, kiedy żył Michałek, drugi syn króla Zygmunta, Jan Kazimierz. Mówiono o Janie Kazimierzu, że dobry i miłosierny jest pan, jak na monarchę przystało, tylko bardzo nieszczęśliwy, bo wciąż wojować musi, a szlachta poniekąd mało go sobie waży. — To czemu tym hardusom nie każe król łbów pościnać? — powiedział raz Michałek do opiekuna, ale Piotr zgromił chłopaka za zuchwalstwo: — Koszulę ci jeszcze w zębach nosić, nie byle co powiadać — ofuknął zgorzony. Gniew zakrystyana małe jednak na wychowanka sprawił wrażenie, bo Michałek kochał króla Jana Kazimierza. Małoż to proboszcz nauczał przy każdym kazaniu, jak Polak w wielkim poszanowaniu mieć powinien swojego monarchę, który jest ojcem całego narodu, a zaś ojczyzna matką nam być powinna. Słuchał Michałek słów księdza, i rozgrzewała mu się dusza od jego nauk, niby od miłosiernego słońca, które wiosną smutną ziemię cieszy. Bo, jak zwyczajnie każdemu sierocie, smutno bywało nieraz chłopcu, choć z łaski zakrystyana nigdy ani wielkiego głodu, ani ostatniej poniewierki nie zaznał. Zwyczajnie jednak każdy z przyrodzenia do

jakowegoś przywiązania dąży, nie dopieroż taki, który ani ojca, ani matki nie ma, błogo więc było słyszeć sierocie o ojcu królu i matce Polsce. Nieraz, gdy Michałek leżał na błoniu przy koniach, marzyły mu się księża kazania. Byłby chciał żrebca co najszybszego dosiąść, na dwór królewski jechać, do nóg Jana Kazimierza upaść i prosić, aby jego, Michałka, wziął między wierne sługi i pozwolił na wojnę iść, jako słyszał od zakrystyana, że chodzą się bić rycerze, którzy wedle swej woli mogą jasność królewską oglądać.

— W zbroi ze złota i srebra chodzą, skrzydła do ramion przypinają, jak święci Pańscy, co ich na obrazie w kościele widziałeś. Każdy taki rycerz hardość ma okrutną, za pan brat z królem do stołu siada, a chłopca za człowieka sobie nie uważa — mawiał Piotr, to też i nad tą sprawą rozmyślał często Michałek. — Skąd się wzięła ta hardość? — pytał okrutnie zafrasowany. Wiedział, że nie zawsze tak źle się działo w Polsce, że za króla Piasta wszyscy, kto ino żył wtedy, porówny za pługiem chodzili, skoro i sam Piast nie czem innem był, jak rolnikiem. Tak nauczał proboszcz, który ciężko bolał nad biedą i pokrzywdzeniem ludu wiejskiego.

— Matko ojczyzna ma wszystkie swe dzieci jednako kochać, wszystkie porówny do serca tulić, bo wszystkimi stoi, i wszyscy synowie matki bronić powinni: szlachcic, mieszczanin, żyd czy chłop. Przyjdzie na Polskę ciężki dopust Boży, i zginie rodzicielka, jeśli cały naród, jako jeden mąż, nie stanie w jej obronie. Sto razy mówił tak proboszcz, a Michałek słuchał zawsze kazania z wielką uwagą. Zjeżdżali do kościoła różni panowie, ten konno, ten w pięknej kolasie, zasiadali ławki przed wielkim ołtarzem, lud zaś prosty cisnął się bliżej drzwi wchodowych. A proboszcz z ambony to w tę, to w tamtą stronę mowę swą zwracał i raz na panów w ławkach, to znów na biedaków z pod drzwi spoglądał, nikomu nie przepuszczając, wszystkich nauczał.

— Matkę macie, a dbacie to o nią — mówił ksiądz, ręce z wielkiego żalu załamując. — Jest Polska, jako ta niewiasta, której synowie pomarli, albo w rozpuszcie przepadli, i niema kto matki przed krzywdą złych ludzi bronić. Broniła dawnej Polski szlachta, i dlatego stan ten nad inne szanowaliśmy. Wspominać też po wiek wieków będziemy wielkich rycerzy, jako naprzykład Żółkiewskiego, który na

śmierć niechybną poszedł, żeby własnym trupem Turkowi drogę do ojczyzny zagrozić. Albo li też chwalić będą po wiek wieków Zamojskiego, bo ten wielki obywatel krew swą dla Polski sto razy przelewał i zamki warowne stawiał, aby lud ubogi miał się gdzie schronić przed dzikim tatarzynem. I wielu innych cnotliwych mężów miała Polska, ale do grobów się w chwale pokładli, a dzisiejsi panowie zamiast królowi Janowi Kazimierzowi wiernie służyć, zamiast w rycerskich postępkach sławy szukać cóż czynią? Wstyd powiedzieć, oto na ucztach i ustawicznych kłótniach czas tracą, a monarsze swemu najmiłościvszemu posłuszeństwo wypowiadają. Przyjdzie godzina kary, przyjdzie dopust Boży, kto wtedy matkęojczyznę własną piersią przed drapieżnymi krukami zasłoni, jako ją dawniej zasłaniali prawi synowie? Kto zasłoni, powiedzcie? Juści nie rycerze, bo pomarli co najlepsi. Rzekniecie może, że chłopci, których i tu w kościele widzę, matkęojczyznę na ten przykład zasłonią? Ale możeż to być, skoro im prawa do wojaczki zaprzeczają, a oni w ciemnocie i w pracy, jako w tem grzązkim błocie do pola zagrzebali się, nie bacząc na swą godność, że z Piastów są, że, gdy Polska woła, stawać powinni porówno w jednym rzędzie ze szlachtą, jako dzieci tej samej matki. Inne narody morza albo li wielkie rzeki i góry na obronę swoich granic mają, nam zaś przyrodzenie takiej ochrony poskapiło. Żerdzią i płótem Polski były piersi jej synów, ale gdy teraz serca wasze w obojętności pomdlały, to tak jest, jakoby żerdzia zbutwiały, a chróst z płota wiatr ma cztery strony świata rozwiał. Przyjdzie zły sąsiad albo lada rabuś, rozgrodzi ojczyznę z reszty obrońców i wlezie w nasze ziemie, jak nieme bydlę włązi w niwę, której granic nikt nie strzeże. Umiął ksiądz proboszcz pięknie i rzewliwie do parafian swych mówić, słuchał też cały kościół słów jego z wielką uwagą, a Michałek to zgoła dotąd wybałuszał oczy na kaznodzieję, aż mu z nich dwa strumienie łez trysnęły i lały się potem chłopakowi ciurczkiem po gębie, on zaś nic na to nie zważał. Byłby nieraz sam jeden w kościele został, bo ludzie wysypywali się przez wielkie drzwi na cmentarz, a sierota klęczał jeszcze w kącie i nad słowami księdza rozmyślał. — Przyjdzie dopust Boży — powtarzał za proboszczem — ani chybi, przyjdzie, skoro tak jegomość powiadają.

Aż i przyszedł dzień sądu na Polskę. Zdarzyło się, że Michałek nocował cały tydzień przy koniach, dawno więc nie widział opiekuna. Patrzy, idzie zakrystyan przez błonie i tak kijem wymachuje, jakby chciał całą wieś wyganiać z chałup. — Co wam to, tatulu, kaj idzieta albo li po co? — zawołał chłopak, którego Piotr zrazu dojrzeć nie mógł z za żrebców.

— Między ludzi z wielką nowiną idę, że Szwedy, co my ich pod Kirchholmem bili, napowrót do nas leżą i pono już kawał Polski zabrali.

— Gadajta, nie może być! — krzyknął Michałek.

— Prawdę rzekłem, bom od samego jegomości słyshał.

— A cóż król, alboli, na to mówiąć, pany szlachta?

— Pany do szwedzkiego króla przystają, a nasz Jan Kazimierz niebożatko pono kajś na Śląsk wyjechał, bo go chudziaczka nikt bronić nie chce. Michałek porwał się za głowę i tak przeraźliwie ryczeć zaczął, że aż Piotr kijem mu groził. Dość miał swojej turbacyi, żeby zaś jeszcze buczenia chłopaka słuchać musiał. Sierota wcale na gniew opiekuna nie zważał. Stado rzucił i, jak stał, tak popędził wprost na plebanię. Proboszcz odmawiał właśnie pacierze, kiedy chłopak padł u jego stóp, szlochając głośno.

— Jegomość, ojczy najłaskawszy! Szwedzi pono do Polski wleźli, aniemasz komu za matką ojczyzną i ojcem królem się zastawić! — wołał, u stóp księdza leżąc. — Prawdę gadališta na kazaniu, dopust Boży, dopust Boży! — wołał dalej. Ale proboszcz nie odrazu poznał Michałka i zrozumiał, o co mu chodzi. Chłopak był zziąjany, czerwony, jak piwonia, a oczy iskrzyły mu się, niby żbikowi. Wzruszenie dziecka rozczuliło jednak księdza. Podniósł Michałka z ziemi i mówił do niego tak łaskawie, jakgdyby to gospodarz najstarszy był, a nie skrzat i urwis. — Prawda, synu, stało się, co przepowiedziałem. Przyszedł dopust Boży, a niema komu bronić Polski i króla naszego najmiłościwszego Jana Kazimierza, bo spadło na ludzi takie omamienie, że wyrzekają się swego przyrodzonego pana i dobrowolnie przystają do szwedzkiego Karola Gustawa, jako głupie owce, którym porówno jest, kto stadem rządzi, swój albo obcy. Trzeba się modlić o nawrócenie grzeszników, Michałku.

— Jabym ta takich gałganów prał kijem, toby zaraz nawrócili od Szweda — wyrwał się chłopak, ale pomiarkował, że jego rzecz nie prawić, tylko słuchać, więc pocałował proboszcza w kolana i zapytał nieśmiało:

— To już nijakiej rady dla naszego króla niemasz, ino pacierz? Ksiądz spojrzał życzliwie na chłopaka.

— Pacierzem cud wyprosić można, a nam trzeba cudu, żeby matkę zratować — mówił proboszcz i dodał po chwili, nie zważając może nawet, kto go słucha:

— Było tak raz już w kraju, który się nazywa Francya, że przyszedł nieprzyjaciel, zabrał Francuzom ojczyznę i wygnał z niej ich króla. Wtedy Bóg sprawił cud i, kiedy nikt nie chciał dać życia swego za matkęziemię, zerwała się uboga pasterka Joanna od stada, które paśla, chwyciła miecz, dosiadła konia, wypędziła nieprzyjaciół z ojczyzny, prawowitego zaś króla swego i pana napowrót do jego tronu przywiodła.

Michałek wytrzeszczył oczy na księdza i słuchał, starając się słowa nie zgubić, a trzęsło nim, jak gdyby febrę miał co najteższą.

—Pasterką była? — zawołał nagle.

—Pasterką, owce na błoniu paśla, kiedy ją duch Boży powołał.

— Owce to nawet nie tyle znaczy, co bydłę, a dopiero koń, i wiadoma rzecz, dziewucha każda słaba jest — rozważał w swojej głowie Michałek, dziwując się opowiadaniu.

Ksiądz wziął tymczasem książkę do ręki, poklepał chłopaka po ramieniu i dodał łaskawie:

— Wracaj do roboty, a pamiętaj, że wszyscy, od najmniejszego dziecka, modlić się powinni o zmiłowanie Boże dla Polski, bo nikt nie zgadnie, czyj pacierz przebłaga gniew Pański i uprosi cud, jak pasterka Joanna uprosić go potrafiła dla swojej ojczyzny.

Od tej rozmowy zmienił się Michałek, jak gdyby kto innego chłopaka na jego miejsce podrzucił. Nie cieszyły sieroty nawet konie, nie gwizdał, na błoniu leżąc, psich figłów całkiem zaniechał, a wciąż tylko rozmyślał o tem, co mu powiedział jegomość, wtedy kiedy w wielkiej żałości u nóg jego szlochał.

— Pasterka, głupia dziewczucha sprawiła, czego nie sprawił nikt — myślał, okrutnie w sobie sumując słowa proboszcza.

— Żeby tak wiedział, gdzie nasz ojciec, gdzie najmiłościwszy Jan Kazimierz jest, zarazbym do niego leciał, choć posłużyć chudzinie, a bo i niektóremu Judaszowi za niego w łeb dać. Kiedyby mi przykazał: bij, Michałku! biłbym, na nic nie pytając — odgrażał się stajenny i raz po raz do plebanii z błonia biegał, żeby nowinę o wojnie posłyszeć. Ksiądz odbierał często listy, czytywał je różnym panom, którzy się do niego po wiadomości zjeżdżali, to zawsze co nieco z tego czytania posłyszał. Czasem proboszcz, ujrawszy Michałka, sam go wołał i to albo owo rzekł, bo go był chłopak bardzo zjednał, że na słowa kazania uwagę pilną zwraca i matkęojczyznę kocha.

Dziwił się Piotr dobroci jegomościowej dla swego wychowanka i zaczynał znów mieć nadzieję, że z sieroty będzie kiedy jeszcze porządny zakrystyan, ale w tem czekał starego opiekuna zawód, bo Michałek ani chciał słuchać o kościelnym urzędzie, tylko koniuchów do wojny namawiał, mocował się z nimi, żeby siły swoje wypróbować i na błonie z plebanii coraz nowe wiadomości znosił. — Pod Częstochową leżą Szwedzi, jako te świnie, które żadnego pomiarkowania nie znają — mówił do chłopaków, pilnujących stada.

Nie każdy z nich wiedział o Częstochowie, więc Michałek uczył ciemnych tego, co sam od tatula słyszał. Piotr był na Jasnej Górze, kiedy obaj z panem Łukaszem wracali z wojny, nadłożyli drogi, żeby się przed cudownym obrazem pomodlić i zawiesić u jego stóp szczerozłote serce, na podziękowanie Matce Boskiej za to, że ich ochroniła od Szwedów. Tam też zakrystan szablę dał do poświęcenia, jako że dotąd rabusiom na krzywdę ludzką służyła, a teraz, w polskich rękach zostając, miała sprawiedliwości bronić.

— Nigdy Polak cudzej ziemi nie zabierał ani cudzą krzywdą się pasł — mówił nieraz ksiądz proboszcz, a Michałek więcej wtedy jeszcze pochmurniał i pytał opiekuna, jakim prawem Szwedzi aż pod kościół częstochowski podstępują. — Nie może to być, aby oni z Najświętszą Panną wojować mieli, pokłonią się obrazowi i odejdą — uspakajał Michałka Piotr.

Ale nie sprawdziły się słowa zakrystyana, owszem, gruchnęła po całej Polsce wieść, że Szwedzi okrutnie wojsko i co największe armaty pod Częstochowę przywiedli, strzelają dzień i noc do klasztoru, bo łakomili się na złote sukienki z obrazu Matki Boskiej.

Piotr, jak tę nowinę usłyszał, mało trupem nie padł, do łóżka położyć się musiał i wstał wtedy dopiero, kiedy ksiądz z ambony ogłosił czterdziestogodzinne nabożeństwo o uproszenie pomocy Bożej dla Jasnej Góry. Bito we dzwony od samego świtu, zbiegli się ludzie do kościoła, przypadł i Michałek z pastwiska. Nie baczył na nikogo, nawet tatulowi się nie pokłonił, tylko prosto do kaplicy Matki Boskiej szedł, krzyżem na ziemię padł i szlochał z wielkiego żalu, jako wtedy, kiedy za trumną swojej rodzicielki łzami posadzkę zlewał. Bo też tak mu było, jakgdyby drugi raz został sierotą. Na pochowku Maryanny cieszył go opiekun, mówiąc, że Najświętsza Panna z nieba na niego spoziera, a tu na ziemi ma matkęojczyznę, za którą on, Piotr, jak dobremu synowi przystało, krew swoją pod Kirchholmem przelewał. Więc Michałek ojczyznę kochał, a teraz miałżeby doczekać potierania imienia polskiego, doczekać wstydu, że naród nie potrafił obronić swojej patronki częstochowskiej, która jest i królową korony polskiej? Sierota od wielkiego żalu głośno jęczeć zaczął:

— Boże, zmiłuj się nade mną, bo nie wytrzymam! Ludzie, ludzie, kto zratuje Najświętszą Panią?

A w tej samej chwili ozwał się głos proboszcza, który, jakoby Michałkowi odpowiadając, w te przemówił słowa z ambony.

— Ksiądz Augustyn Kordecki, przeor zakonników częstochowskich, obroni Matkę Najświętszą, bo jest jej dobrym sługą i wiernym sługą króla Jana Kazimierza też się wyznaje. Zakonnik on, nie rycerz, różaniec i krzyż za wszelką broń ma, ale serce w nim wielkie jest, więc tak ufam, że klasztoru Szwedom nie odda. Jako w potopie Noe rodzaj ludzki zratował przez arkę, tak ksiądz Kordecki zratuje ojczyznę przez Częstochowę, która arką zbawienia dla Polski jest. Zaleli Szwedzi potopem cały nasz kraj, pomdlały w tchórzostwie serca obywateli, nie było komu króla a ojca narodu bronić, ale Bóg sprawi cud i pokaże przez księdza Kordeckiego, że, byle ojczyznę kochać, więcej uczynić potrafi nie znający wojennego rzemiosła zakonnik,

niż największy szwedzki generał. Módlmy się, bracia, i sposobmy serca, aby, gdy Szwed przyjdzie, każdy gotów był dać życie za wiarę i za Polskę. Michałek zerwał się z ziemi, twarz pałała mu ogniem.

— Jegomość rzekł, że ksiądz Kordecki zratuje Częstochowę, a Szwedzi przyjdą do Rudnika — myślał rozradowany i pocieszony, święcie wierząc słowom proboszcza.

— Ino przyjdźta, a popamiętacie Michałka, kulasy wam kłonicą przetrącę, łby rozwałę siekierą, jako nieboszczyk tatuś niedźwiedziowi pysk rozwalił, wszystkich chłopaków z całego Rudnika na was zbuntuję, że noga szwedzka nie ujdzie — mamrotał stajenny, biegnąc wprost z kościoła na błonie, gdyż pilno mu było koniuchów do wojny namawiać.

Odtąd w każdą niedzielę opowiadał proboszcz z ambony o księdzu Kordeckim, jak mężnie broni Częstochowy, a po mszy śpiewał z ludem suplikacye na uproszenie zmiłowania Bożego dla Jasnej Góry.

Bo to miejsce święte okrutne znosiło prześladowanie. Łakomy był Szwed na skarbiec klasztorny, więc z całych sił na mury się darł, ogniste kule dzień i noc miotał na dach kościelny, że drżały fundamenty od huku armat. Większe zaś jeszcze, niż ze szturmującym nieprzyjacielem, miał ks. Kordecki utrapienie z kobietami, które się do klasztoru schroniły, i z niektórymi tchórzliwymi zakonnikami. Ci, małej wiary będąc, nalegali wciąż na przeora, aby obrony zaniechał, a klasztor Szwedom oddał. Straszyli, że słyszą, jak Szwedzi lochy pod Jasną Górą kopią, nie dziś, to jutro kościół razem z klasztorem w powietrze wysadzą i pogrzebią pod gruzami wszystkich obrońców Częstochowy razem z obrazem Matki Najświętszej.

Człowiek małego serca byłby się tych strachów uląkł, gdyż istotnie Szwedzi sprowadzili ze Śląska górników i kazali im skałę pod kościołem kruszyć, ale Kordecki, prawy katolik i Polak, na nic nie pytał, tylko obowiązku swego strzegł. — Sługa ja Maryi, sługa Jana Kazimierza, do ostatniego tchu w tej służbie wytrwam za Bożą pomocą — mówił.

I słowa dotrzymał pobożny zakonnik. Najstraszliwsze szturmy mężnie znosił, krzyżem kule od kościoła odpędzając, stałością nieprzyjaciela znużył, aż po paromiesięcznem oblężeniu musiał Szwed z wielkim wstydem od częstochowskiego

klasztoru odejść, jako nie przymierzając ten wilk, który się pod owczarnię chytrze skrada, ale nic porwać z niej nie zdoła, jeśli psy wiernie wrót pilnują. Wielka była radość ludu, gdy się dowiedziano, że Szwed od Częstochowy odstąpił, a klasztor jasnogórski stoi, jak stał, i świeci całej Polsce chwałą Matki Boskiej. Michałek szalał ze szczęścia.

— Jegomość prawdę powiadali! Ksiądz Kordecki obronił Częstochowę, teraz drugi raz będzie prawda jegomości, że Szwedzi przyjdą do Rudnika — mówił do zakrystyana, ale opiekun zgromił wychowanka:

— Zawsześ głupi, Michałku, pocóżby zaś tu leźli; zawstydzili się swego szelmostwa, że na Najświętszą Pannę nastawali, to teraz uciekną za morze, jak tamci z pod Kirchholmu.

Michałek jednak przekonać się nie dał.

— Przyjdą, tatulu, skoro jegomość mówili, a ja im kulasy poprzetrącam — odgrażał się stajenny i szedł do czeladniej izby parobkom nowiny zanieść, które był posłyszał na plebanii. Bo ksiądz proboszcz upodobał sobie wielce Michałka za jego śmiałość, wiedział, że ucieszy sierotę, nieraz mu też rzekł jakie słowo o ojczyźnie, częściej zaś jeszcze o tych wrogach, którzy na nią nastają. A wiadomości były coraz liczniejsze, miał je proboszcz od różnych przejezdnych osób, gdyż w tych niespokojnych czasach dużo się po kraju kręciło takich, którzy albo przed wojną uciekali, albo inne zgoła mieli sprawy, a każdy wstępował do jegomości. Gdzież to się mógł podróżny lepiej pożywić, jeśli nie na plebanii? Aż gruchnęła ze wszystkich stron radosna wieść, że Szwedom źle się dziać zaczyna. Kto pierwszy ją przyniósł, nie wiedział nikt. Zda się, same drzewa szumiały lepszą dla Polski nadzieją, świergotały o niej ptaki, hukały echa po borach.

— Rozbiło się samo złe o Bożą mękę, przebrali Szwedzi miarę, teraz będą mieli karę — mówił Piotr, a proboszcz ze łzami dziękował Bogu za upamiętanie grzeszników i nauczał lud z ambony:

— Pokorny zakonnik Kordecki dał przykład, jak syn matki bronić powinien. Zawinił naród bardzo, że odstąpił swego monarchy Jana Kazimierza i pozwolił królowi szwedzkiemu do Polski wejść, ale też teraz każdy prawy syn ojczyzny poznał swą winę i chce ją nagrodzić. Ludzie wszystkich stanów łączą się z sobą, jak

brat z bratem, a biją Szwedów. Bije ich zaś zwłaszcza, nie folgując, zuch nad zuchy, Stefan Czarniecki, mąż wielkiej cnoty obywatelskiej i wielkiego męstwa. Michałek w czasie tego kazania stał przy samej ambonie, słuchał zaś słów księdza proboszcza z takim natężeniem, jakgdyby każde chciał na wieki w sercu zachować. Jeśli przytem zawsze był nagły we wszystkim, co czynił, to w tych gorących czasach wojny szwedzkiej paliło się chłopakowi poprostu we łbie. Więc też, gdy usłyszał pochwały proboszcza dla Czarnieckiego, rozkochał się tak w sławnym wodzu, jakgdybynie sto, ale tysiąc razy widział go na swoje oczy. Myślał Piotr, że kto szaleju sierocie zadał, bo nic tylko o wielkim wodzu prawił i chłopaków na podwórzu musztrował. Ustawiał ich w dwa wojska, sam, jako Stefan Czarniecki, dowodził jedną gromadą, a drugich Szwedami być zmuszał i tak kijem okładał, że raz po raz do zakrystyana z bekiem na skargę biegali. Tymczasem kończył się już drugi miesiąc roku pańskiego 1656. Śniegi miejscami zaczynały tajać po wzgórzach, choć wiosna przychodziła późna i leniwa. — Jako ten śnieg znika na polach przed słońcem, tak reszta Szwedów zniknie z Polski, gdy zawita do nas najmiłościwszy Jan Kazimierz, słońce i ojciec narodu — mówił zakonnik, który od wsi do wsi za jałmużną dla leżajskiego klasztoru jeździł. Wprosił się na noc do rudnickiego proboszcza, a że bywalec był, siła ludzi znał i, choć się z tem nie wydawał, żeby gniewu Szwedów na swe zgromadzenie zakonne nie ściągnąć, aż na Śląsku bywał, więc proboszcz rudnicki z wielką ciekawością opowiadań jego słuchał. Zażyli tabaki obaj księża, a zakonnik ciągnął dalej:

— Wiem pewno, gdyż goniec z radosną wieścią do naszego klasztoru przybył, że król a pan najjaśniejszy Jan Kazimierz zbliża się już do Lwowa, naprzeciw zaś jego osoby śpieszy, kto może, każdy wierny ojczyźnie Polak. Nie jest monarcha nasz opuszczony od swych poddanych, jako był wprzód, bo coraz więcej synów opowiada się za matkąPolską i pod znakiem orła białego staje. — Jakąż to radosną wieść zwiastujecie mi, ojczy Jacku! — zawołał proboszcz rudnicki, z wielkiego ukontentowania zerwawszy się z ławy, na której przy kominie siedzieli, piwo popijając. Chwycił zakonnika w pól, a tak silnie w objęciach swych ścisnął, aż się oba ku oknu przetoczyli. Właśnie zaś pod ten czas Michałek się koło

plebanii przekradał do zakrystyana. Zapukał w okno jegomość, jako że bardzo szczęśliw będąc, chciał radosną wieść o zbliżaniu się króla udzielić wszystkim sługom. Przypomniawszy sobie, że sierota po cieśli Wojciechu okrutną do Szwedów nienawiść chowa, on więc najchętniej po całej wsi dobrą nowinę rozniesie. Michałek stanął w progu i patrzył śmiało na duchowne osoby, które coś po cichu do siebie gadały, snać proboszcz o nim powiedział zakonnikowi, bo palcem chłopca wskazywał.

Zakonnik rozśmiał się na całe gardło, z przyrodzenia krotochwilny był, a stajenny wyglądał, jak chuderlawy dzieciuch, wcale na żołnierza nie zdatny. — Tyżeś to jest, o którym ksiądz proboszcz mówi, że się Szwedów bić porywasz? — Ja, proszę jegomości — odpowiedział zuchwale chłopak.

— To śpiesz się, zuchu, bo ci tyle tylko powiem, że król nasz Jan Kazimierz do Lwowa idzie, pan Stefan Czarniecki w pomoc mu z wojskiem śpieszy, niedługo ani jeden szelma Szwed w Polsce nie zostanie.

A na to Michałek, czerwony, jak wiśnia, runął do nóg proboszcza. — Wasz ci ja jestem, jegomość, nie czyj ino wasz, skoro tatulo nieboszczyk na plebańskiej ziemi siedział, bez waszego pozwolenstwa iść mi się na wojnę nie godzi, ale puśćta mnie jegomość, puśćta, na rany Boskie, bo nie wytrzymam i polecę Szwedów walić. Zdumiał się proboszcz, podniósł Michałka od swoich nóg i, widząc, że chłopak buzczać a chlipać poczyną, odezwał się do niego przychylnie: — Nie będę ja zaprzeczał nikomu prawa do wojaczki, bo sam was nauczałem, że chłop porówny z mieszczaninem i szlachcicem matki bronić powinien, ale dzieciuch jeszcze jesteś, to sił na żołnierza nie masz. Stada pilnuj, gdy Szwedzi przyjdą, nie tylko ludzi, ale i koni potrzebować będzie Jan Kazimierz. Dawaj więc pilne baczenie na żrebaki i objeżdżaj co starsze, żeby się między nimi siła zdatnych do wojny okazało.

— A jak będziesz miał na Szwedów iść, zawieś na szyi ten szkaplerz, o obraz Matki Boskiej Leżajskiej pocierany — dodał zakonnik, oddając Michałkowi szkaplerz podwójny.

Chłopak padł do nóg obu jegomościom, kiedy się jednak potem w czeladniej izbie

podarunkiem przechwalał i opowiadał, jako do bitwy ze Szwedami służyć mu ma szkaplerz, sfukał go Piotr za zarozumiałość:

— Skrzat jesteś, nie parobek, na gębie brzytwy ani mydła nie znasz, a do wojaczki się rwiesz, zwyczajnie, głupi myśli, że wojować tyle znaczy, co kaszy ze skwarkami zjeść. Inne tamte Szwedy, nie takie, jak te, które ci gospodyni na misce podaje — przymawiał stary zakrystyan, aż zawstydzony Michałek łyżkę cisnął, wieczerzy nie dojadł i spać do stajni poszedł.

Tymczasem coraz głośniej rozprawiano w Rudniku o zbliżaniu się Jana Kazimierza do Lwowa, kto żył zaś, sławił zwłaszcza męstwo Stefana Czarnieckiego, który w całej Polsce zasłynął odwagą. Mówiono też, że, chociaż co najprzedniejsze miasta, jako Warszawa, Kraków, Poznań, Wilno, są jeszcze w ręku Szwedów, a tylko Lwów na przyjęcie króla się gotuje, to jednak, skoro raz prawy monarcha do swych dzieci wróci, nigdzie rabusie długo popasać już nie będą. Jakoż wkrótce wiadomo było, że, kto żyw, zarówno możni panowie, jak i uboga szlachta, zarówno chłopci, jak i mieszczenie, w kupy się łączą, napadają na Szwedów i gnębią ich bez miłosierdzia. Strzelb, kul czy prochu mało mieli ci ochotnicy, ale nie pytano na to. Kowale po miastach i wsiach, często nawet cyganie, bili młotami w kuźniach, przekuwali żelazo na broń, a z ledwością mogli nadażyć robocie, tylu czekało chętnych, żeby prędzej kosa lub choć żelazne widły w garść wziąć i na Szweda iść. Śpiewano też sobie dla lepszej fantazyi różne piosenki, jak np. ta:

Królu szwedzki, nieboże.

Zmykaj lepiej za morze,

Jak zając,

Bo gdy sypną się guzy,

To pogubisz rajtuzy,

Zmykając!

Tyle w Rudniku o dzielności wojska polskiego mówiono, aż Michałek turbować się zaczął, czy aby żywego Szweda zobaczy, nim Stefan Czarniecki wszystkich rabusiów na kapustę wysieka, turbował się zaś tem więcej, odkąd gruchnęła po

kraju wieść, że król szwedzki Karol Gustaw z Warszawy nad morze do Prus wyjechał.

Zakrystyan tryumfował i raz po raz tabakę na dobry humor zażywał. — A co, nie mówiłem, że tak będzie. Zawstydzi się swoich postępów i ucieknie za morze, jak tamci Szwedzi, których sam pomagałem bić. — Tak radował się zakrystyan, ale znów omyliły go nadzieje.

Karol Gustaw wyjechał wprawdzie z Warszawy, zrobił to jednak dlatego, bo miał się już za pana całego kraju nad Wisłą i tak w dumę urósł, że gości na swoją koronację do Krakowa zapraszał. Prędko wyjechał z Warszawy, to bieda tylko, że jeszcze prędzej z drogi nawrócił, gdy się dowiedział o wyruszeniu Jana Kazimierza ze Śląska i przygotowaniach, jakie Lwów robił na przyjęcie swego prawowitego monarchy.

Myślał Karol Gustaw, że dość mu będzie ze Szwecyi przyjechać, żeby Polskę ukraść, niby tę gęś na jarmarku, i połą sukmany dla niepoznaki nakryć, a tu się pokazało, że naród nie głupi ptak, do czasu tylko rozum albo li cnotę stracił i prędko na szwedzkiej sukmanie się poznał, więc też Karol Gustaw mało nie pękł ze złości na to ocknienie się sumienia polskiego.

Jak raniony zwierz nawraca od kniei, gdzie już na odpoczynek szedł, aby pomsty na myśliwym szukać, tak król szwedzki, zraniony w swej dumie, nawrócił w miejscu, skrzyknął swe wojska i ruszył w głąb Polski, prosto na Lwów drogę obierając, żeby tam Jana Kazimierza dognać, obrońców jego rozpędzić, a samego monarchę w niewolę pojmać.

Ale prędko przekonał się Szwed, że niełatwo mu będzie tej sztuki dokonać, żeby ojca z pośród dzieci wydrzeć i uwięzić, że nie wszyscy Polacy złamali wiarę swemu monarsze. Chciał po drodze do Lwowa odpocząć w Zamościu i śmiało bramy jego otwierać sobie kazał, wtedy jednak tak go grzecznie pan Jan Zamoyski kulami ze swego zanku przyjął, że się Szwedowi odechciało czekać, aż drzwi miasta otworzą, poszedł zatem, jak niepyszny, z kwitkiem i już z mniejszą fantazyą ciągnął dalej pod Lwów.

Miało się tedy spełnić, czego pragnął Michałek, bo Szwedzi coraz bliżej podchodzili ku Rudnikowi, byłby nie wytrzymał, poleciał może naprzeciw nim,

choć jegomość i opiekun zakazywali, ale trzęsła nim febra, od chłodnych wiatrów wiosennych nabyta. W ciepłej izbie zakrystyana wygrzewał więc Michałek plecy, a tylko nadśluchiwał pilnie, o czem ludzie gadają. Zaroilo się bowiem było wtedy, jak zwykle czasu wojennego, od konnych i pieszych, że godziny nie upatrzysz, aby nowy przybysz na drodze się nie pojawił, że zaś wiosna szła późna na świat, słońce powoli suszyło ziemię, błocisko na gościńcu było okrutne, zdarzyło się niejednego z kałuży ratować, na suchszą drożynę wyprowadzić, a zaś to przy okazji nowinę jakową posłyszec.

Właśnie wyszedł Michałek z izby o południu, kiedy zobaczył, że chłapie się ktoś po błocisku i wprost ku plebanii zmierza. Wyglądał podróżny na mizernego szlachetkę, gdyż i koń pod nim był nieosobliwy i ubranie nosił zszarzone, może od trudów drogi. Chłopak, rad, że co nowego posłyszysz, ofiarował się sam obcego na plebanię przeprowadzić i konia mu potrzymać. A właśnie proboszcz akurat pod tę porę gołębie w ganku grochem karmił, co były z dachu sfrunęły i natrętnie jegomości po nogach skubały.

Podróżny stanął na progu, pochwalił Pana Jezusa, jak się godzi uczynić Polakowi, i oznajmił, że z rozkazami od szwedzkiego generała jedzie, żeby spyżę dla ludzi, a także dla koni przygotowywano, gdyż najjaśniejszy król Karol Gustaw temi stronami pod Lwów z wielkiem wojskiem ciągnąć będzie. Michałek tak skoczył, że aż targnął cuglami konia. Może go febra podrzuciła, a może zgoła złość na sprzedawczyka. Chciał już coś powiedzieć, ale się w samą porę zmiarkował.. — To wasze Polak, widzę, a szwedzkiemu królowi służysz? — pytał tymczasem proboszcz.

Przybyły zmieszał się zrazu, wprędce jednak rezon odzyskał i hardo z miejsca odciął:

— Jakiemuż to królowi mam powinność składać, jeśli nie Karolowi Gustawowi, którego już cała Polska za swego pana uznała. Jemu ja służę i w jego imieniu oznajmiam jeszcze księdzu proboszczowi, jako wolą monarszą jest, aby proboszczowie z ambon przestrzegali ciemny lud przed rozkazami tego zuchwalca Czarnieckiego, który naród do wojny podmawia i wzywa.

Michałek nie mógł dłużej bluźnierstw przechery szwedzkiego słuchać, chwycił za kołek w płocie i byłby nim może przez łeb obcego zdzielił, ale proboszcz w sam czas spostrzegł zamiary chłopaka i ostro na niego spojrzął. Pomiarkował się więc i zaczął coś koło siodła majstrować, raz po raz za płot sięgając ręką, aby kolczastej tarniny dostać, a uszami łowił dalej rozmowę w ganku.

Nie słyszał już jednak żadnej nowiny, bo ksiądz ostro przybłędę za przeniewierstwo zgromił, papierów z rozkazami nie przyjął i precz mu jechać kazał. — Pomszczę mój despekt na jegomości, a prędko zdarzy się okazyja — groził szwedzki sługa, złażąc z ganku.

Zły był, trzaskał szablą, jakby duchowną osobę do bójki wyzywając, a potem dumnie skinął na Michałka, konia sobie podać nakazując. Chłopak jakoś bardzo wolno i ostrożnie podprowadził szkapę do ganku, gębę sobie kułakiem zatykając. Musiał urwis nieczyste mieć sumienie, bo, jak tylko obcy nogę w strzemień włożył, on na drabinę, przy domu stojącą, śmignął i z dachu za szwedzkim sługą spoglądał. Było bo na co patrzeć: ledwie obcy kulbaki dotknął, koń łeb do góry poderwał, zastrzygł uszami, na tylnych nogach przysiadł i, jakby go kiez ukąsił, z taką wściekłością z miejsca ruszył, że w mgnieniu oka płot od podwórza przesadził i pognął prosto do lasu.

— Kolery dostał czy co? gotów łeb o sosnę rozbić — mówił proboszcz, z ganku schodząc i za koniem patrząc, który znikł już na zakręcie drogi.

— Michałek! — zawołał nagle, bo spostrzegł, że chłopak pokłada się na drabinie od okrutnego śmiechu.

— Gadaj prawdę, nie może być, tylko tyś, hultaju, coś temu koniowi zadał. Chłopak zsunął się z drabiny i do nóg jegomości przypadł.

— Ino tyła wszystkiego grzechu, co mu parę gałązek tarniny i hangrystu pod siodło wściubiłem.

— A jeśli przez twoje psie figle kości połamię i duszę zgubi, to co?

— Czemu szelma ze Szwedami trzyma? rozbije łeb, to nie stanie się wielka szkoda, proszę jegomości, ino tyła, co będzie o jednego Judasza mniej — odciął rezolutnie Michałek, ale potem pokornie ucałował rękę proboszcza i poszedł się grzać na słońcu, bo nim znów febra okrutnie trząść zaczęła.

Piotr użył dużo biedy, zanim nakoniec wylikował chłopaka, sprowadzał nawet do niego babę, znajdującą się na ziołach i na odczynianiu choroby, choć wiadomo było wszystkim, że zakrystyan baby miał w pogardzie. Wylikowało może Michałka samo słońce, które coraz mocniej nagrzewało ziemię, aż od jego gorących promieni zazieleniły się błonia, wylały wody z rzek, a co drogi, to były takie ciężkie, że niejeden szwedzki wóz zagrzął na gościńcu, nikt zaś w całym Rudniku pomocy dać mu nie chciał.

Pilno było stajennemu do źrebców na pastwisko, pilniej może jeszcze, dlatego że, leżąc przy koniach, widział drogę i wlokące się po niej wozy ze szwedzkiego taboru.

Jednego dnia, kiedy Michałek, zdrów już będąc, konie z kilku chłopakami paść i opowiadał im, jak szwedzkiego sługę za zdradę na agreścianych kolcach przewiózł, usłyszeli koniuchy jakoweś wołanie. Niemiec czy Szwed krzyczał, bo go zrozumieć nie można było, dopiero po chwili zmiarkowali, że obcy ludzie wielki ciężar wiozą i o drogę pytają.

Michałek zerwał się z pastwiska, jak zawsze do wszystkiego był nagły, w mig też przy wozach stanął, a tu z pierwszej furmanki odzywa się po polsku stary niemrawy chłopina. Siedział wylękły i skurczony przy szwedzkim żołnierzu, który końmi powoził.

— Powiedz, jeżeliś tutejszy, którą do Leżajska najbliżiej?

— To wy Szwedom służycie? — zapytał Michałek.

— Ktoby im ta juchom po dobrej woli służył, całą naszą wieś splondrowali o przewodnika, ale młodzi zawczasu się pokryli, a mnie, starego, z chałupy wyciągnęli i drogę sobie kazali pokazywać.

— A co wieziecie na tych trzech furmankach?

— Starszy, który nie jest Szwed, mówił, że w workach groch dla wojska na spyżę zładowali, ale ja zwyczajny groch nosić na plecach, a takiego ciężaru, jakom żyw, nie próbowałem. Widzi mi się, kule one są, nie groch, ino Szwedy cyganią, żeby nasi nie odebrali.

— I na tamtych dwóch wozach też kule? — pytał Michałek.

— Na tamtych cosik pod słomą wiozą schowane, pewno fuzye, bo długaśne, krzywe kulasy.

Chłopak aż się za głowę złapał, ale zrazu nic nie rzekł, bo coś w nim dech zatkało, dopiero po chwili zapytał:

— I kazali wam furmanki do Leżajska prowadzić?

— Juści, że kazali, to co miałem robić, prowadziłem. W tamtej wsi mówię, że dalej drogi nie znam i chcę z wozu złązić, a oni nie pytają, tylko szablą grożą i krzyczą: fort! Puścić mnie nie chcą, bo się przekonali, że nikt im za przewodnika służyć nie chce.

— A rozumie który z nich po polsku? — spytał Michałek.

— Ten starszy Szwed rozumie, co na trzeciej furmance siedzi. Zaraz mu powiem, żeby mnie do domu puścił, a ty, jako tutejszy, poprowadzisz do Leżajska.

— O jej, czemu nie! poprowadzę i z ochotą poprowadzę! — zawołał stajenny. Oczy świeciły się mu, jak kotowi, kiedy zobaczy mysz, na którą długo czatował, a zębami zgrzytał, jakgdyby chciał żywcem Szwedów pożreć.

Chłop zlązł tymczasem z furmanki i podszedł do ostatniego wozu. Żołnierze, jadący za brykami, szwargotali coś długo między sobą, w końcu starszy skinął na Michałka. Był Niemcem, teraz Szwedom pomagał, służył jednak wprzód w Królewcu w Prusach, wtedy więc nauczył się trochę polskiej mowy, tylko bardzo cudacznie ją przekręcał.

Spojrzał z podełba na stajennego.

— Prawdę gadała, znała droga, wiedziała gut, gdzie Leża? — pytał zeszwedziały Niemiec.

Michałek zatkał czapką usta, żeby się nie rozśmiać, i odpowiedział chytrze:

— Wiedziała, wiedziała, gdzie leżeć będziesz, ino mnie weź za przewodnika.

— Gut, to jest dobra, weźmiemy, siada na fura i fort, ty, stara chłopa, idź precz doma.

— Zdałaby się zapłata, tyle czasu zmitrężyłem — upominał się gospodarz, ale Niemiec wpadł w gniew.

— Dam ja tobie zapłata, ty, polska szwynia, wielga honor miała, szwedzkiemu królowi służyła, fort, a ty siada na woza.

— Mam konia, z konia lepiej drogę widać! — zawołał Michałek. Nim pastuchy na błonię opatrzyć się mogli ze zdziwienia, on dosiadł już żrebca i popędził przed wozami na przewodnika, a tak tęgo szkapą wodził, że niemiecki knecht aż językiem cmokał, co takiego dobrego przewodnika dostał. Kręcili głowami komuchy, krzyczeli za Michałkiem, żeby go powstrzymać od daremnej mitręgi, ale chłopak nie pytał na ich wołanie, tylko żrebca piętami ścisnął, a raz po raz ku słońcu spoglądał, czy zaszło.

Znał dobrze całą okolicę, wiedział, że droga, na którą wjechały za nim furmanki szwedzkie, nie do Leżajska prowadzi, tylko na wielkie moczary, co się rozciągały za lasem i porastały trawą. Nigdy z tych łąk nie zwożono paszy w lecie, bo z ledwością kosiarze utrzymać się na nich mogli, dopiero, gdy ziemia zamarzała, wjeżdżały wozy po siano, a trafiały się na trzęsawiskach miejsca tak grząskie, że bydłęta w nich tonęły nie raz i nie dwa.

Michałek jechał śmiało naprzód, podśpiewując dla dobrej fantazyi piosenkę, którą już wtedy zaczynało znać w całej Polsce:

Bijże Szwedów, bij, wzięwszy tęgi kij!

Topże Szwedów, top, jeśliś dobry chłop!

— Potopię was, psie syny — mrucał pod nosem, przerywając piosenkę — potopię za to, żeście Najświętszej Pannie krzywdę uczynić chcieli.

Cieszyła go okrutnie przygoda, serce biło młotem w chłopaku, toż pierwszy raz miał się przysłużyć matceojczyźnie.

— Niedoczekanie wasze — wygrażał Szwedom — przewodnika wam się zachciało, myślicie, że będę rabusiom pomagał i na krzywdę swoich prowadził? Poznacie Michałka, nie taki on głupi, jak tamten chłop, coście go od świń utraktowali, dam ja wam posponować Polaka! Obiecałem Miemcowi, co leżeć będzie, poleży też, ino nie na wozie, ale w błocie, i dotrzymani mu słowa — przechwalał się Michałek, a uśmiechał przytem chytrze, bo taka go radość rozpierała, że byłby na cały głos pokrzykiwał: hu, ha! tylko się bał Szwedów przestraszyć.

Oni wlekli się tymczasem za wozami, i też raz po raz w górę spoglądali, bo ciemniało na dworze, ostatnie zorze zgasły, a miesięczka ani gwiazdy przez gąszcz

leśny nie dojrzeć. Ujechali tak jeszcze parę staj, droga była coraz cięższa, koniska z ledwością wyciągały nogi z błota.

— Koni mi żal, bo potoną w bagnie, żebym mógł, tobym im postronki poprzecinał, niechby się nieme stworzenia swoim rozumem zratowały, ale tak myślę, co nijak nie zdolę, własny łeb ciężko będzie cały wynieść, jak się głupie Szwedy zmiarkują, gotowe usiec. Niechta i to będzie na chwałę Najświętszej Paniienki, ino co szkap to mi okrutna szkoda, choćby ten kasztanowaty wałach z pierwszej furmanki, albo tamta skarogniada zdałyby się do naszego stada, skoro jegomość powiadają, że je dla króla polskiego chowa. Potoną ze wszystkim bestye, nie zradze wam, chudzieta, nie zradzę, a czemu zaś szelmom służycie, teraz was jeden koniec czeka. Tak rozprawiał Michałek, jadąc wciąż na kilkadziesiąt kroków przed pierwszym wozem, a tylko oglądając się za taborem, gdy mu nikły między drzewami. Tymczasem noc zapadała coraz ciemniejsza, włókł się więc tabor wolno po grzązkiej drodze, aż dojechali do olszyny, która zwykle największe błota porasta.

— Chłopaka, gdzie ty była? pójdź zara do moja noga! — wołał Niemiec. Michałek nawrócił w miejscu koniem i stanął przy furmankach.

— Gadaj, czy wszystka droga będzie taka paskudna błota? Ja chciała prędko do Leża.

— Prędko leża, zaraz za olszyną leża — odparł śmiało chłopak, ale nagle zdjął go strach, bo spostrzegł, że Szwedzi, jadący konno za wozami, niecierpliwia się i jakoś groźnie między sobą szwargocą. Nie czekał więc na dalsze pytania, skręcił koniem w las, do bagna, na które prowadził Szwedów, było już istotnie już bardzo blisko.

— A może spostrzegą się juchy, że ich chcę topić, i nie pojedą dalej? — pomyślał. Nie stracił jednak fantazyi, czasem tylko czuł po skórze mrowie, jakby mu kto tatarski za koszulę nasypał.

— Wielga byłaby szkoda, żeby zaś jechać nie chcieli, bo na bagnie wszystkich galanto ze świata zmiętę, a tak to oni, psubraty, gotowi mi przez złość łeb ukreć, albo, jeśli żywcem puszcza, ręce i nogi odrąbać.

Michałek wiedział, że Szwedzi zwykli byli tak mścić się na chłopach, którzy przeciw nim występowali.

Przeżegnał się chłopak szkaplerzem, co go od zakonnika dostał na złą godzinę, potem duszę Matce Boskiej Częstochowskiej w szczególną opiekę oddał i znów śmiało de wozów nawrócił. Chciał uspokoić Szwedów, żeby mu zawierzyli i za jego śladem dalej jechali.

— Do Leżajska niedaleko, hań w tamtej stronie, byłoby już kościół widać, ino nocka ciemna, a olszyna zasłania — powiedział, zdejmując czapkę i kłaniając się grzecznie Niemcowi z pierwszej furmanki. Ale knecht ofuknął Michałka: — Glupa chlop, gada widać, ciebie ja mało widać, a Leża by ja widać. Djabla wozić w taka noc, nie ciężka kula.

— To wy kule wiezieta? bo tamten gospodarz mówił, co groch? — spytał chytrze Michałek, ale Niemiec pomiarkował się już, że głupstwo powiedział, zaklął tylko znów dyabłami i kazał chłopakowi iść fort drogi pilnować. Pojechał więc Michałek, gębę pięścią zatykając, żeby się nie rozśmiać, ale co droga, to teraz była jeszcze gorsza, niż wprzód, a raczej nie było jej już wcale. Oddawna zginęły ostatnie ślady wozów, którymi do lasu po drzewo jeżdżono, nawet olszyna rzedniała miejscami, natomiast gdzieniegdzie wyrastał z błota tatarak i kępy wikliny. Tabor szwedzki coraz głębiej grzął w błocie, darmo furmani śmigali batami, darmo konie dobywały ostatków sił. Ciemno było, że własnego nosa nie zobaczysz, za dnia poznałby każdy, na jakie bagna go wiodą, poznałby, że dalej kroku postąpić nie można, bo, gdzie okiem sięgnąć, rozlewało się olbrzymie bajoro, porośnięte szuwarem i kępkami zielonych traw albo pleśni. Michałek jeden wiedział, na jak wielkie naraża się niebezpieczeństwo, choć znał dobrze te miejsca, bo chodził tu nieraz z chłopakami po gniazda wodnych ptaków, których tysiące żyło na moczarach. Jego własny koń zapadał miejscami w błoto wyżej kolan.

— Dalej już nie potrzebuj eta przewodnika, sami trafita do piekła — pomyślał chłopak. Ściągnął źrebca cugłami i uskoczył w bok między wiklinę. Trafił szczęśliwie na twardszy grunt, obsadził w miejscu konia, utaił się wśród kęp łoziny i zaparł w sobie dech, czekając, aż przejadą wszystkie trzy furmanki i konni Szwedzi. Siedział tak już chwilę przyczajony, kiedy tuż za krzakiem Niemiec z pierwszego wozu zaczął znów krzyżeć i pytać o drogę do Leżajska. Dreszcz przeszedł po skórze Michałka, słyszał bicie własnego serca, i zdawało mu

się, że słyszą je z wozów, przejeżdżających opodal. Bo o kilkanaście kroków od niego brnęli w błocie Szwedzi, klnąc, wrzeszcząc i zgrzytając zębami ze złości. Konie rwały postronki, zapadały coraz głębiej w bagno, kładły na dyszlach. Przez chwilę cały tabor zatrzymać się musiał, furmani pozłazili z wozów, żeby dźwigać zagrzęźłe koła, pomagali im nawet żołnierze, jadący w tylnej straży. Michałek nie rozumiał, co mówiono, domyślał się tylko ze szwargotu i krzyków, że Szwedzi się wściekli. Ścisnął w rękę szkaplerz i zegnał nim źrebca, żeby nie zarżał do koni. — A jeśli zarży? — myślał.

Byłby zgubiony, bo Szwedzi stracili cierpliwość, knecht z pierwszej furmanki kłął i wołał na przewodnika. — Chlopaka, galgan, gdzie ty się podziała? pójdź do noga! ja ciebie będę zabiła, ja ciebie ze skóry obdarła, jak ten węgorz z tego błota. Chlopaka, zara pójdź galgan. Mein Gott, gdzie ten hultaj, halt! halt! stój! tu była woda!

— Top się, psi synu, utopcie się wszyscy co do jednego, razem z waszymi kapelusikami, kiedyś do Polski wleźli — pomyślał Michałek i odetchnął lżej, bo minęły go już wszystkie trzy wozy, a żołnierze, jadący konno, ruszyli za nimi, poganiając z całych sił wierzchowce, może chcieli się przekonać, co znaczą krzyki, dochodzące od furmanek.

A krzyczano tam coraz głośniejsze po szwedzku, po niemiecku, nawet z kiepska po polsku, bo pruski knecht wołał wciąż na Michałka i kłął go od polskich dyabłów i od swoich teufłów. Słysząc było szamotanie się i kwik koni, znarowionych biciem, potem głośny plusk, jakby wielki ciężar wpadł do wody, potem znów krzyki, przekleństwa, świst batów, którymi smagano biedne szkapy i znów plusk okrutny, poczem na chwilę umilkło wszystko, aż jeszcze na jeden moment ozwały się krzyki i wołanie ratunku, ale już słabsze.

— Dobrze was poprowadziłem, niema co mówić, na samo jezioro wyrychtowałem drogę, teraz się szoldry pławcie, ino tyła złego, co będą mi się was strachały źrebce, jak je do brodu w lecie zawiodę — mruczał Michałek, a taka wtedy była złość całego narodu polskiego przeciw Szwedom za to, że na Matkę Boską Częstochowską nastawali, że chłopak nie wyrzucał sobie nawet swego postępku. Myślał tylko o tem, jakby teraz szczęśliwie dostać się do Rudnika, a musiał pilnie

drogę rozpatrywać, bo noc była ciemna, choć oko wykol, a źrebiec zziąjany zapadał w błoto po kolana.

Zlął z wierzchowca, cugle w ręce chwycił i szedł, uciarany, jak nieboskie stworzenie, tchu w sobie nie czując od wielkiego zmęczenia, ale i od wielkiej radości, która mu piersi rozpierała. Choćby go kto na sto koni wsadził, jeszczeby mu takiej uciechy nie sprawił, jaką on teraz miał. Tchu nie czuł, a przyśpiewywał raz po raz:

Łupże Szwedów, łup! i ze skóry złup,

Tnijże Szwedów, tnij, to ich będzie mniej!

Ale posmutniał nagle:

— Juści pewnie, że mniej jest was teraz, gałgany, zawdy mało wiela mniej i, nie chwalący się, ja to sprawilem, ino okrutnie mi żal, co żadnego przez łeb kijem zamalować nie mogłem i szabli mu z garści wydrzeć, jako tatulo zrobili — myślał Michałek, nie przeczuwając wcale, że tatulo czeka na niego tymczasem z takim poczęstunkiem, jakiego dawno od chrzestnego ojca nie dostał.

Była już noc zupełna. Piotr o tym czasie odmawiał zwykle pacierze na różańcu, ale dziś ani jednego dziesiątka nie mógł się doliczyć, tak mu złość myliła Zdrowaśki.

— Żeby zaś Michałek miał po dobrej woli Szwedom służyć? nie może to być! Omamienie chyba na chłopaka padło, zła pokusa jakowaś, czy co? — powtarzał zakrystyan i zrywał się z klęczek, bo mu gniew piersi zatykał. Tegoż to doczekał po swoim wychowanku? na to mu o Kirchholmie i o panu Chodkiewiczu prawił, jako Szwedów w morzu topił? na to ojczyznę, czyli Polskę, jako matkę rodzoną kochać przykazywał, żeby zaś teraz miał z niego szwedzkiego knechta mieć? Oni, bezbożnicy, na Matkę Najświętszą nastawali, króla jegomości ciężko krzywdzili, lud pospolity za psa nie mieli i okrutnie kaleczyli, na mękę lada chłopca wydając, a tu komuchy mówią, że Michałek z dobrej woli ofiarował się na sługę takim krzywdzicielom, że im drogę z własnej ochoty poszedł pokazywać. Toż insze paroby krzty tego, co on, nie słyszą ani w bogobojności są chowane, a żaden z nich się nie ważył od koni odejść, jako odszedł ten urwis, ten powsinoga, który

stado rzucił, kiedy na niego gwizdnęli, byle lecieć, bez żadnego pomiarkowania będąc, że na zgubę swojej matkiojczyzny leci.

Tak rozmyślał pan Piotr, po izbie chodząc i raz po raz przystając a nadsluchując, czy Michałek do domu nie wraca. Bo, choć zakrystyan przyznać tego nie chciał, bał się okrutnie o sierotę po Wojciechu. Wiedział, że Szwedzi za nic sobie mieli płać przez łeb chłopca, gdy im już nie był potrzebny, albo zgoła postronek ukręcić i przewodnika na gałęzi powiesić, żeby nie wydał przed swoimi, gdzie wojsko prowadził. Michałek za oddaną usługę mógł też taki poczęstunek dostać. — Skąd mu się wzięło w ciemnotę, w bezdróż prowadzić wozy do Leżajska, raz był tam ze mną na odpuszcie i miałyby zaś drogę pamiętać — mrucał zakrystyan. Przystanął, gdyż wydało mu się, że słyszy stąpanie konia. Wyrzwał przez okno, ale noc ciemna, gwiazdy nawet nie świeciły, to cóż dojrzysz, człeku? Stąpanie jednak było coraz wyraźniejsze, jechał ktoś od olszyn.

— Michałek przecie nie z tamtej strony — by wracał, gdzie zaś od błót? — nadsluchiwał Piotr.

— Nie daj, Boże, komu w taką ciemną noc szczęścia na bagnie szukać — mówił, dziwiąc się odwadze jeźdźca, który do olszyn pod tę porę drogi próbował. Ale nieznajomy śmiałek zajechał już tymczasem na podwórze, i źrebiec zarżał, poczuwszy stajnię.

— On ci! on, jak mi Bóg miły! — zawołał Piotr, chwytając za kij jałowcowy, który stał zawsze przy jego łóżku. Był zły i rad zarazem, że sierotę nie spotkała żadna zła przygoda. Z tym większym jednak gniewem czekał na Michałka, który, nie domyślając się, jaki go spotka poczęstunek, wprowadzał spokojnie źrebca do stajni.

— Dam ja ci szwedzką służbę, hultaju! — krzyknął zakrystyan, ledwie chłopak stanął w progu, zziąjany i unurzany w błocie, ale ze świecącymi od radości oczami

— dam ja ci z heretykami na własną matkę się sprzymierzać! — wołał Piotr ochrypłym z gniewu głosem i, nim Michałek opamiętać się zdołał, już mu plecy tak kijem wygarbował, jako najlepszy garbarz skóry nie wyprawi.

— Co się wam stało, tatulu? O la Boga, puście, za cóż mnie bijeta? Że Szwedów potopiłem w olszynie, za to mnie krzywdzić będziecie, jakoście nigdy nie krzywdzili! — wołał Michałek.

Panu Piotrowi wypadł kij z pięści na te słowa chrzestnego syna. Stał zziębnięty po środku izby, rozkrzyżował ręce, jakgdyby cały świat na wielkie dziwowisko zwoływał, i krzyknął z całych sił.

— Szwedów potopiłeś, na bagna, nie do Leżajska ich zawiodłeś? tyś tego dokazał, Michałku? prawdę zaś aby rzekłeś? gadaj, bo nie strzymam i buczyć zacznę, jako buczałeś nieraz, biedny sieroto, po moim kochanym kumie Wojciechu, świeć, Panie, jego duszy.

Zakrystyan przysiadł na ławie, gdyż wprzód gniew, a potem rozczulenie odjęły mu ze wszystkiem nogi. Wytrzeszczył oczy na chłopaka i słuchał jego opowiadania, mało wierząc własnym uszom, sen li to jest, czy jawa? Michałek zaś nie pamiętał już na poczęstunek, jaki dostał od opiekuna, i tylko kiej niekiej guzy od kija po sobie macał, a zresztą, niby najlepszy młynarz, mełł językiem, prawiąc, jako to udało mu się Szwedów do trzęsawisk doprowadzić, wozy na samo jezioro narychtować, a potem bocznymi ścieżkami uciec.

— I drogę do domu znalazłeś na moczarach w taką ciemną noc? — dziwował się Piotr, który teraz dopiero zobaczył, że chłopak unurzany w błocie, musiał omackiem ścieżek szukać i po ramiona w błoto zapadać.

— Że się, raku zatracony, nie utopiłeś, to prawdziwy cud Matki Boskiej.

— Co to ja! — przerwał Michałek mową opiekunowi — ale wielga rzecz w tem, że Matka Najświętsza żrebca zratowała. Musiałem go całą staję, albo i dwie, prowadzić na uzdzienicy, bo młody i głupi, to raz po raz ze ścieżki w błoto skręcał.

— I mówisz, że Szwedzi razem z wozami na dno poszli? — pytał zakrystyan, a oczy starego świeciły radością i dumą.

— Pewnie, że poszli, jeśli zaś który wypłynął z jeziora, to zawsze mu przyjdzie do rana na błotach zginać, bo ziaby oni nie są, ino ludzie, a wiecie dobrze, że tam moczary nieprzebrane. Zakrystyan milczał chwilę, kiwał głową albo li kręcił nią, jako ten, który się czemuś okrutnie dziwuje, wreszcie, pomedytowawszy, rzekł:

— Słuchaj, Michałek, skrzat jesteś, ale wiesz co? tyś wielkiej rzeczy dokonał. Choć jeszcze wąsów nijakich nie masz, mało który parob na toby się porwał, czemu zradziłeś dzisiaj z tymi Szwedami.

— A to dlaczegośta mnie bili, tatulu?

— Bo myślałem, że cię zły skusił do dyabelskiej służby, ale mi już daruj swoją krzywdę i ofiaruj Panu Bogu te kije, co ich, po sprawiedliwości mówiąc, nie powinieneś być dostać.

— Dobrze mówicie, tatulu, ja też ofiaruję Panience Częstochowskiej wasze bicie na tę intencję, abym Szwedom z garści szablę wydarł — odpowiedział Michałek, a że był bardzo głodny, zdjął z pułki bochenek chleba, odkroił sobie kromę i zaczął jeść od grubszego końca, bo chciał prędzej kiszki naprostować, co mu się skręcały ze czczości.

Zakrystyan nie usnął tej nocy wcale. Jego wychowanek chrapał już od dawna w stajni, a on jeszcze uspokoić się nie mógł. Próbował kilka razy pacierza, ale gdzie zaś mu było Zdrowaśki odmawiać, kiedy aż nosiło starego po łóżku od wielkiej alteracyi. To martwił się Michałkiem, bo nuż chłopak z przeziębienia znów złej gorączki dostanie, to inne myśli przychodziły mu do głowy. Chciał biec, aby opowiedzieć proboszczowi wszystko, jak było od początku, a raz po raz za kij poomacku chwytał i byłby nim prał koniuchów za to, że śmieli Michałka o szwedzką służbę posadzać.

— Niedoczekanie wasze, gałgany, gdzieby zaś kto pomyślenie takie mógł mieć! Wszystkie kości tym próżniakom na błoniu porachuję — odgrażał się zakrystyan, zapominając, że przecie sam zwątpił o wychowanku.

Dopiero nad ranem usnął, ale i zdrzemnąć się dobrze nie zdołał, bo dziad właśnie na Anioł Pański przedzwaniać zaczął. Skoczył z łóżka, przetaił oczy, spojrzął na szablę i wraz przypomniał sobie przygodę Michałka, że zaś pilno mu było opowiedzieć proboszczowi, jak dzielnie spisał się jego chrzestniak, więc, nie bacząc na zmęczenie, co tchu przyodziewek naciągnął i do plebanii pośpieszył.

— To mówisz, że na tych wozach kule i broń były? — pytał proboszcz, który, usłyszawszy nowinę z ust Piotra, długo głową kręcił, a potem natychmiast Michałka wołać do siebie kazał.

Chłopak stał w progu, zaspany i nieumyty, ale rad okrutnie, raportował też śmiało, jak żołnierz, kiedy się przed dowódcą swymi czynami chwali.

— Oni wprzód gadali, co groch wiozą na spyżę dla wojska, ale się ich cygaństwo wnet wydało, bo w strachu sami potem lamentowali, jako ciężkie kule po błocie

wlec muszą. Ja sobie tak uważam, z przeproszeniem jegomości, że te ich fuzye toby się pewnie panu Czarnieckiemu zdały, i że onby z nich był okrutnie rad. — A któż się to odważy wyciągać wory z błota, kiedy Szwedyi łatwo o wszystkim wiedzieć mogą i pomsty będą szukali nad całą wsią.

— To też nikomu o tym interesie gadać nie potra, ino takim, którzy śmiałość mają, a gębę dobrze stulić umieją. Niech mi jegomość dadzą pozwolenstwo, ja się tatula zaradzę, kogo we wsi ochotnego dobrać i jutro ino świt będziewa szwedzkie majątności z wody dobywać. Proboszcz spojrział z podziwem na chłopca.

— Dopiero cię febra trząść przestała, już ci po drugą pilno, a i to wiedz, że ze Szwedami też nie zawsze się uda, raz im uciekłeś, nuż zaś który cało z błota wylazł i swoich po śladzie przyprowadzi, to skórę z ciebie ściągną, jak z węgorza.

— Kiej, z przeproszeniem jegomości, ja nie ryba ani żadna jensza gadzina, ino sługa Matki Boskiej, więc mi Panienska Częstochowska krzywdy zrobić nie da. Ksiądz na tę odpowiedź chwycił głowę chłopca w obie ręce, przytulił dobrotliwie do piersi, czoło naznaczył krzyżem i powiedział rzewliwym głosem, w którym łyżać było:

— Idź, Michałku, i czyń, jako ci serce doradzi, ja już w niczem zaprzeczać temu, co zrobisz, nie będę. Michałek za te słowa buchnął, jak długi, do nóg jegomości, gdyż przypomniało mu się to, co ksiądz był kiedyś mówił o pasterce Joannie, która króla swojego zratowała. Wzięła go okrutna chęć własnemu monarsze, Janowi Kazimierzowi, tyle świadczyć z miłości, on, parob, ile potrafiła marna dziewczucha. Zaraz się też tatulowi opowiedział ze wszystkim, co uczynić zamierzał, i o błogosławieństwie, jakie mu dał proboszcz. Należało działać rozważnie, bo, choć całe Rudniki wrzały przeciw Szwedowi i niejednen czekał tylko okazji, żeby gdzie na małą kupę wroga napaść, a skórę mu wyłatać, to dotąd wojska nieprzyjacielskie ciągnęły gromadnie, Michałkowi udało się wprawdzie zapóźniony taborek schwytać, ale był to traf szczęśliwy, z całym zaś pułkiem zwadę wszczynać trudno. O wielką zatem chodziło rzecz, prawie na oczach szwedzkich, w biały dzień, z błot broń i kule dobywać, do tego nie każdy z chłopów odwagę miał, a znów po nocy na moczary iść, ani gadaj mądrymu człowiekowi, toż Michałek cudem prawie się z nich po ciemku wydostał. Ale w tem była już głowa Piotra, żeby śmiałków

dobrac, którzy się na wszystko odważą i gębę tak stulić potrafią, że niepotrzebnego słowa żaden z nich ani piśnie. Jakoż bez mitręgi wyprawił się zakrystyan zaraz po mszy na wieś i póty do różnych chat zaglądał, aż na samo południe widać dobrą wieść Michałkowi przyniósł, bo coś okrutnie długo tatulo z chrzestniakiem szeptali na przyźbie, a chłopak raz po raz parskał śmiechem od wielkiej uciechy. Odtąd mało się już pokazywał na błoni przy źrebcach, raz dlatego, że mierzilo mu się między komuchami, bo to i on miał do nich złość za posądzenie i oni po owej szwedzkiej usłudze nic go sobie nie ważyli, owszem, z podełba na sierotę spoglądali. Zresztą, widać wyznaczono Michałkowi inną jakowąś robotę na plebanii, do której po nocy zrywać się musiał. Jeszcze miesiąc rano na niebie świecił, kiedy Michałek już po wsi uganiał. Czy psich figłów jakowych szukał, czy może za dorodnymi dziewczuchami, skrzat niegodziwy, poglądał, bo po sadach o tej porze dopiero wiśnie i gruszki kwitnąć zaczynały, a on, jakby na owoce był łasy, między ogrodami chłopskimi się przebierał i co z najtęższymi parobkami zmawiał. Gdzie potem chodzili, nie wiedział nikt, ino dziwiło wszystkich, że na drodze ku moczarom ich widywano, a przecie do sianokos było jeszcze daleko. Tyle jednak wtedy miał naród do gadania, tyle okrutnego strachu napędzali wszystkim Szwedzi, że nikt się tak dalece o Michałka nie turbował. Zwłaszcza zaś komuchy przy źrebcach, na błoni leżąc, łatwo zapomnieli o stajennym, bo mieli się czego napatrzyć i nasłuchać. Raz po raz trafiał się na drodze jakiś przybłęda, który o wojnie prawił, byle za to kawałek chleba dostać, jako że wraz większy głód zaczął pod ten czas ludzi przyciskać. Mówiono zatem, że, chociaż Szwedzi dotąd z Polski nie ustąpili, to ustąpić będą musieli, bo im pan Czarniecki od samej zimy okrutne szkody w wojsku czynił i czynić nie przestaje. Tu most zepsuje albo wieś, w której nocują, podpali, owdzie napadnie znienacka i kilkadziesiąt jazdy usiecze, często też tabory z żywnością zabiera. Ciągłym pościgiem tak Szwedów nęka, że o chłodzie i głodzie z miejsca na miejsce przenosić się muszą, nie wiedząc, gdzie wódz polski się zataił, i strzelając do sosen, kiedy on już dawno swoich ludzi z lasu wyprowadził.

Rosła sława pana Czarnieckiego w Rudniku, opowiadano sobie o nim, jak to naprzykład w zimie dopadli go Szwedzi pod Gołębiem, ogarnęli wielkim wojskiem

i myśleli, że wygniotą co do jednego wszystkich polskich ochotników, a tymczasem ci pokazali im zęby i ostro natarli na zbójów. Grubi szwedzcy rajtarowie z takim rozpędem skakali, uciekając z wysokiego brzegu na lód, pokrywający rzekę, że zasłał się on od lądu do lądu trupami. Zginęło tam wprawdzie także wielu polskich rycerzy, a ci, co zostali, rozproszyć się musieli po kraju, żeby nie wpaść w ręce samego króla, Karola Gustawa, który nadciągał z pomocą dla swoich generałów, ale i generałowie długo potem nie zapomnieli, jak sprawnie na lód skakali i że pod Gołębiem zginęło kilku co najprzedniejszych pomiędzy nimi, ba! toż nawet sam królewicz, Waldemar, został bez duszy na placu, a księżę Biponcki nogę przy tej okazji złamał.

Kiedy przyszła do Rudnika wiadomość o bitwie pod Gołębiem, nie było już lodu na rzekach, owszem, pola pokryły się runią zbóż, ale piękne urodzaje nie cieszyły nikogo, bo rolnicy wiedzieli, że nadciągająca pod Karolem Gustawem ćma szwedzka nie da dojrzeć zbożu i chleb końmi strątuje. Pocieszali się jednak wieśniacy lepszą nadzieją, krzepiąc jeden drugiego wspomnieniem na wielkiego rycerza:

— Widać Szwed nie taki dyabeł straszny, jak go malują — mówiono — skoro pan Czarniecki skórę mu raz po raz praży, a pod Krasieczynem to pono całe dwa pułki wysiekł, które chłopci nasi w zasadzkę wciągnęli.

I była to prawda. Chłopci zwabili Szwedów pod szablę pana Czarnieckiego, a pomagali mu czasem, który mógł, że ledwie z obu pułków jeden żywy Szwed uciekł, żeby swemu królowi o bitwie donieść.

Takie i tym podobne wieści znosili do Rudnika różni głodomorzy, wynędzniali, a często kalecy, bo byli między nimi i tacy, którzy, w moc szwedzką się dostawszy, srogie wycierpieli męki i, złorzecząc, uchodzili przed wrogiem. Nie dziw też, że, okaleczeni i z umysłu pozbawieni członków, cudeńka opowiadali o przemocy szwedzkiej, że straszili temi wieściami rudnickich komuchów. Radziby oni, pastuszkowie, byli chwalić się Michałkowi tem, co usłyszeli od łązegów z gościńca, cóż kiedy, jak się już rzekło, Michałka rzadko teraz widzieć było można na błoniu. Za to Kuba, drugi stajenny, opowiadał, że, wracając z sąsiedniej wsi od stryjka, dojrzał, jak sierota po cieśli Wojciechu wór do księżej stodoły wnosił, a skradał się

i oglądał przytem na wszystkie strony, niby prawdziwy złodziej, który cudze dobro kradnie.

— Gdzieby zaś Michałek złodziejem miał być, toż gadasz, że do stodoły wór wnosił, a nie ze stodoły księżę dobro zabierał — zgromił Kubę Wojtek, sołtysów syn, i tak mu dokumentnie na oczy jego głupotę wystawiał, jak gdyby sam w tej sprawie ręce był umaczał. Kuba też tylko ramionami ruszył na to gadanie Wojtkowe, bo pomyślał, że cały ten interes z worem nieczysty musi być i lepiej go ze wszystkim poniechać, niż z sołtysiakiem zadrzeć. Wiadoma rzecz, sołtys pierwsza we wsi figura i ojciec najładniejszych dziewczuch na całe Rudniki, to jakże takiemu się sprzeciwić? Znowu więc o Michałku ucichło do czasu na błoniu; i jak ucichnąć nie miało, kiedy nagle zaczęli ludzie głośno pogadywać, że król Karol Gustaw z drogi do Lwowa nawrócił, dudy w miech schował, a teraz ze wszystkim z Polski się zabiera, bo mu pan Czarniecki i inni rycerze spokojnego odetchnienia nie dają, ino tak go tropią, jak dobry myśliwy wilka po śladzie tropi. Leciały po Rudnikach nowiny, niby te dostałe gruszki z drzewa, jeszcześ jednej nie podniósł, już druga sama ci się naprasza do gęby. Ludzie szaleli z radości, aż też i ksiądz proboszcz odebrał przez konnego jakowąś pewną wiadomość, więc, że to była niedziela, na ambonę wszedł, zapowiadając dziękczynną modlitwę za uratowanie Polski, czego on, nad grobem stojący, doczekał.

— Zmiłował się Bóg — mówił ksiądz — pocieszył moje i wasze serca, dając zwycięstwo prawemu monarsze polskiemu, Janowi Kazimierzowi; nie myślcie jednak, mili parafianie, aby to już koniec był wojny. Owszem, zbliża się ona do nas, bo Szwed, cofając się, wprost na nas idzie, jako mi o tem donoszą, i blisko już następuje. Zatem niech każdy z was gotów będzie dać życie za ojczyznę i wedle sił pomóc matce do powstania z grobu, w który ją źli synowie własną ręką wtrącili. — Dziękuję ci, Panie Boże, za te nadzieje! — pomyślał Michałek, przy ambonie stojąc i pilnie kazania słuchając. Byłby odrazu na drogę z kościoła leciał, jako że zawsze niepomiarkowany i palus się okazywał, a po słowach księdza omal ze wszystkim głowy nie postradał. Wydało mu się, że widzi już szwedzkie wojska i, niewiele pytając, uderzy zaraz na nie z Wojtkiem sołtysiakiem albo z innymi, co się był w tych czasach okrutnie z nimi pokumał, tylko że nie każdy wiedział

w Rudniku, wedle jakiej sprawy to kumostwo stanęło. Pomiarkował się jednak na czas Michałek, że w kościele jest, i dalej pobożnie nauki słuchał, a była ona cała o tych sprawach naszej kochanej ojczyzny, które najwięcej zarówno proboszczowi, jako też i parafianom na sercu leżały.

Cieszył więc ksiądz siebie i lud wierny polski, mówiąc, że Szwedzi siły ze wszystkim tracą, koniną się, w braku innego pożywienia, karmią, a co tchu ku Sandomierzowi dążą, jako wypada im teraz Wisłą do Warszawy, a stamtąd dalej do morza się przebierać. Wielu jednak po drodze tracą ludzi, bo zewsząd rycerstwo na nich naciera, a lud, w braku innej broni, kosy na sztych w drzewce osadza, aby tylko niemi wroga tępić. Najwięcej zaś, jak zawsze, dokazuje pan Czarniecki, który niedawno koło Sieniawy niespodziewanie na szwedzki obóz napadł, że tylną straż Karola Gustawa w pień wysiekł. Tylko zaś dlatego cofnąć się musiał, że mu kul zbrakło.

— Ino przyjdź do nas, do Rudnika, a będziesz miał kule! — omal nie krzyknął Michałek. Całe szczęście, że go właśnie na tę chwilę szarpnął za rękaw Wojtek i z kościoła wyprowadził po wielką nowinę. Wojtek na nabożeństwie nie był, przykazał mu ojciec chaty strzedz w ten niespokojny czas, sam zaś sumy słuchać poszedł, a miał się też z proboszczem o ważnych sprawach naradzić. Ale przed chwilą przyjechał do sołtysa konny z Leżajska i kazał Wojtkowi szukać na gwałt rodzica, żeby mu rozkazy jakoweś oddać, o których i wspomnieć przed chłopcem nie chciał, od kogo były albo co rozkazywano. Więc Wojtek ojca z plebanii do chałupy zawiódł, a choć nie słyszał wszystkiego, o czym sołtys z posłańcem gadał, tyła wie, że Czarniecki znowu Szwedów pod Leżajskiem wysiekł. — Pod Leżajskiem! — krzyknął Michałek — to już blisko od nas, przecie te juchy Szwedy, co ich potopiłem, do Leżajska jechały—zaczął na cały głos wołać z wielkiego ukontentowania, ale go sołtysiak w bok huknął i tem do pomiarkowania przywiódł, bo ludzie właśnie na ten czas po nabożeństwie wysypywać się przed kościół mieli. Więc zmilkł na chwilę stajenny, byłby jednak z miejsca w pole leciał, gdyż szaleńcem zawsze został, choć w ostatnich tygodniach strasznie się górnie nosił i ino z mądrymi a najlepszymi w Rudnikach gadał.

Byłby w pole leciał Michałek, tylko że tymczasem... omamienież to czy prawda? samo pole zdawało się ku niemu iść, takie okrutne wojsko wymaszerowało nagle z za olszyny. Widział już nieraz Michałek oddziały szwedzkie, kiedy w tamtą stronę na Lwów szły, ale takiej ćmy, jaką teraz ujrzał, nawet wystawić sobie nie mógł. Zrozumiał dopiero w tej chwili, co za okrutną potęgę ma pod sobą ten Szwed, który, pobity i cofający się, jeszcze tyle tysięcy żołnierzy wiezie. Bo tysiące to szły pieszych, jechały konnych, toczyło się wozów i armat za wojskiem co nie miara, że, jak okiem sięgnąć, gościniec pokryty był mrowiskiem głów, niby fala za falą, wali i wali morze ludzkie, zda się, ziemia cała zginie pod nim.

— Jak ruda mysz, przypadnie każdy, ktoby się chciał im opierać — powiedział sołtysiak.

Michałek nie mówił nic, rozdziawił tylko gębę, a oczami ścigał Szwedów, oczy te zaś świeciły mu się, jak żbikowi. Nie stracił widać wcale ochoty do wojaczki, chociaż nawet on rozumiał, że ta ćma cały Rudnik zaleje, że może tu nikt nie zostać żywy.

Jakoż pewnieby i do tego przyszło, bo Szwed, zły, zwyczajnie złodziej, któremu szkodę wydzierają, cofając się z Polski, nie oszczędzał nic ani nikogo, palił i niszczył dobro ludzkie. Na szczęście jednak gromada rudnicka była zebrana w kościele, tam się też utajono na czas okrutnego pochodu, a Szwedom widać pilno iść przykazano, więc we wsi mało krzywdy zrobili i przesuwali się dalej przez gościniec, pułk za pułkiem bez żadnego grania, milczący, jako te nieme figurki jasełkowe, które chłopaki w szopce na Boże Narodzenie pokazują. Ledwo przejechał drogą jeden oddział i zniknął za wiatrakiem, już zaraz następował za nim drugi, trzeci, dziesiąty. Waliło wojsko gościńcem, niby ten wąż okrutny, którego się Żydzi na końcu świata spodziewają i, jako bywa u padalca, oderwał się nagle ogon od tego wielgaśnego gada, zatrzymał, skręcił w miejscu, aż się z niego zbiła spora gromada, Michałek ujrzał z przerażeniem, że ta gromada wprost na probostwo pędzi.

Ksiądz właśnie pod ten czas prześpiewał już ostatnie pieśni z ludem i, ornat z siebie zdjąwszy, odmawiał pacierze w zakrystyi, kiedy wpadł pacholek z plebanii i oznajmił, że sam król szwedzki Karol Gustaw na obiad do plebanii zajechał,

wojsko naprzód wysłał, gwardyi zaś swojej, czyli straży przybocznej, która go nigdy nie odstępowała, kazał odpoczywać przy zabudowaniach księżych. Michałek złapał się za głowę i, jak stał, skoczył na plebanię, a za nim Wojtek, ale we dwa pacierze byli już napowrót w zakrystyi. Nie wierzył własnym uszom i oczom, dopiero, gdy to, co o zabudowaniach mówiono, rozważył, oprzytomniał na chwilę.

— Zabiorą gałgany moje fuzye i kule — krzyknął, nikt jednak, nawet Wojtek, go nie słuchał. On zaś gadał dalej:

— Król szwedzki, Karol Gustaw, na plebanii rudnickiej! sam Pan Jezus do rąk mi go daje — meł w ustach wyrazi Michałek, akurat, jak kamień młyński miele ziarno, nie wiedząc, jakie ono jest. A wtem Wojtek palnął go nieźle w bok pięścią, że zaś był ostrożny, szepnął mu na ucho:

— Niechby pan Czarniecki wiedział o tym królu, toby mu pewnie życia nie darował.

Michałkowi zrobiło się jasno przed oczami, oprzytomniał nagle, jak gdyby mu kto kubel zimnej wody na łeb wylał.

— Gdzie jest ten jezdny, który z twoim tatulem gadał? — zapytał Wojtka.

— W naszej chałupie był, jak tu szedłem, a okrutnie miał zganianego konia, to pewno nie odjechał. Chciał sołtysiak jeszcze coś rzec, ale, gdy się obejrzał, Michałka dawno nie było już w zakrystyi; kościół też pustemi świecił ścianami, bo, na wiadomość, że wojsko szwedzkie zajmuje plebanię, kto żył, biegł się przekonać, jaki porządek zastanie we własnej chacie. Michałek tymczasem dopadł już był do domostwa sołtysa, i Wojtek zobaczył go tylko, że w mig z niego wyleciał, a potem gnał wprost na błonie do źrebców.

— Stado chce zganiać, żeby go Szwedzi nie ogarnęli — pomyślał sołtysiak, ale mylił się bardzo, jako mylili się i inni, którzy zdała za Michałkiem spoglądali. On zaś biegł co tchu w piersiach, aż wpadł między konie. Tam jednej chwili dosiadł najtęższego źrebca, ścisnął go bosemi piętami, szkaplerz na piersiach poprawił i gnał bez pamięci prosto drogą do Leżajska. Do pana Czarnieckiego leciał stajenny, na oczach szwedzkich leciał, zuch! Tak, nie co, ino do pana Czarnieckiego chciał się dobić chłopak, bo powiedział mu sołtys, że wojsko polskie za Szwedami

następuje, ale zaczepić się ich boi, gdyż naszych jest garść, a Szwedów okrutnie dużo, jako widzieli wszyscy, ile luda przez Rudnik waliło.

— Królowi i tym juchom z zabudowań, co mi moje kule pewnikiem zabiorą, daliby nasi radę, żeby tylko wiedzieli, że oni tu są — pomyślał Michałek. Duszę oddał Matce Boskiej w opiekę, jako, że sługą się Panienki Częstochowskiej wyznawał, i popędził co tchu do pana Czarnieckiego. *)

Lecz pan Czarniecki znajdował się tym razem o dwie mile drogi, zaś jego przednia straż szła pod panem porucznikiem Szandarowskim, nie dalej jak pół mili za Szwedami. Pan Szandarowski rozmawiał właśnie z sławnym wojakiem Rochem Kowalskim, gdy nagle obaj ujrzeli nadlatującego, co koń wyskoczy, pacholika. — Co to za dyabeł tak pędzi? — rzekł Szandarowski — i jeszcze na źrebaku. — Chłopak wiejski — odrzekł Kowalski. Tymczasem Michałek przyleciał przed sam szereg i zatrzymał się dopiero wówczas, gdy źrebak, przestraszony widokiem koni i ludzi, stanął *)

Cały następujący ustęp wyjęty z Potopu. dęba i zarył kopytami ziemię. Michałek zeskoczył i, trzymając źrebaka za chmyza, skłonił się panom rycerzom. — A co powiesz? — spytał, zbliżywszy się, Szandarowski.

— Szwedy u nas w plebanii; gadają, że sam król jest między nimi! — rzekł Michałek z iskrzącym wzrokiem. — A siła ich?

— Nie będzie nad dwieście koni. Szandarowskiemu z kolei zaświeciły się oczy, lecz bał się zasadzki, więc spojrzał groźnie na chłopaka i rzekł: — Kto cię przysłał?

— Co mnie kto miał przysłać! Samem na źrebaka na grudzie skoczył, ledwie się nie zatknął i czapkę zgubił. Dobrze, że mnie ścierwa nie obaczyli. Prawda biła z opalonej twarzy Michałka i ochotę miał widocznie wielką na Szwedów, bo mu policzki pałały i stał przed oficerami, trzymając jedną ręką za grzywę źrebca, z rozwianym włosiem, rozchełstaną koszulą na piersiach, oddychając szybko.

— A gdzie reszta szwedzkiego wojska? — spytał chorąży.

— Jeszcze rano przewaliło się ich tyła, żeśmy zrachować nie mogli, ale tamci poszli dalej, a ostała jeno jazda, a jeden śpi u dobrodzieja, powiadają, że król. Na to Szandarowski.

— Chłopie, jeśli łżesz, szyja ci spadnie, ale jeśli prawdę mówisz, proś, o co chcesz. A Michałek skłonił mu się do strzemięcia.

— Żebym tak zdrów był! Nie chcę nijakiej nagrody, jeno żeby mi wielmożny pan oficer „siablę” dać kazał.

— A dać mu tam jaką szerpentynę — krzyknął na swoją czeladź zupełnie już przekonany Szandarowski. Inni oficerowie poczęli wypytywać jeszcze Michałka, gdzie plebania, gdzie wieś, co robią Szwedzi, ten zaś odrzekł: — Pilnują, psiajuchy! Kiedybyście prosto poszli, to was obaczą, ale ja was za olszyną poprowadzę. Wydano wnet rozkazy, i chorągiew ruszyła, zrazu rysią, potem w skok. Michałek jechał oklep na swoim źrebaku, bez uzdy, przed pierwszym seregim. Źrebaka piętami poganiał, a coraz to spoglądał promienistemi oczyma na obnażoną szerpentynę. Gdy już wieś było widać, wykręcił w łozy i wiódł drogą trochę grzązką, ku olszynom, w których było jeszcze błoto; zaczem zwolnili koniom.

— Cichoście!—rzekł Michałek—jako się olszyna skończy, oni będą na prawo o ćwierć stajania. Więc poczęli się posuwać bardzo zwolna, bo i droga była trudna, a ciężkie konie jazdy zapadały nieraz do kolan. Wreszcie olszyna zaczęła rzednać, i wyjechali na brzeg. Wówczas, nie dalej jak o trzysta kroków, ujrzeli idący w górę obszerny majdan, za nim dom księży, otoczony lipami, między którymi widać było wiechetki słomianych ulów, na majdanie zaś dwustu jeźdźców w hełmach i pancerzach. Olbrzymi jeźdźcy siedzieli na olbrzymich, lubo wychudzonych koniach i stali w gotowości, jedni z rapierami przy ramionach, drudzy z muszkietami, opartymi o uda, ale patrzeli w inną stronę, ku głównej drodze, skąd jedynie mogli się spodziewać nieprzyjaciela. Wspaniały, błękitny sztandar ze złotym lwem *) powiewał nad ich głowami. Dalej naokoło domu stały straże, po

*) Złoty lew to herb Szwecyi, tyle dla nich znaczy, ile dla każdego Polaka biały orzeł.

dwóch ludzi; jedna z nich zwrócona była ku olszynie, ale, że słońce okrutnie grało i raziło oczy, a w olszynie, która już się pokryła zielonym liściem, było prawie ciemno, więc jeźdźców polskich nie mogła owa straż dostrzec. W Szandarowskim, kawalerze ognistym, krew poczęła kipieć, jak ukrop, lecz się pohamował i czekał, póki szereg się uładzi, tymczasem pan Roch Kowalski położył swą ciężką rękę na ramieniu Michałka.

— Słuchaj, bąku — rzekł, a widziałeś króla?

— Widziałem, wielmożny panie! — szepnęło chłopię.

— Jakże wygląda? Po czem go poznać?

— Czarny okrutnie na gębie i czerwone wstęgi przy boku nosi.

— Konia zaś jego poznałbyś?

— Koń też kary z łysiną.

Na to Roch:

— Stajenny, pilnuj mnie i pokaż mi go!

— Dobrze, panie! A prędko skoczym?

— Zamknij gębę!

Tu umilkł, chwilę trwała cisza, wtem koń pod samym Szandarowskim parsknął. Na to rajtar ze straży spojrział, drgnął, jakby go coś podrzuciło w kulbace i wypalił z pistoletu.

— Bij; morduj! — rozległo się w olszynie, i chorągiew, wypadłszy, jak grom, z cienia, runęła ku Szwedom. Poczęła się straszna rąbanina na szable tylko, bo strzelać nikt nie miał czasu. W mgnieniu oka zepchnięto Szwedów na płot, który zwałił się z trzaskiem pod parciem zadów końskich i poczęto ich siec tak zapamiętale, iż stoczyli się i zmieszali. Dwakroć próbowali się zewrzeć i, dwakroć rozerwani, utworzyli dwie osobne kupy, które w mgnieniu oka rozdzieliły się znowu na mniejsze, wreszcie rozsypały się, jak ziarnka grochu, które chłop szuflą rzuci w powietrze.

Nagle rozległy się rozpaczliwe głosy:

— Król! król! ratujcie króla!

Karol Gustaw zaś, zaraz w pierwszej chwili spotkania, wypadł z pistoletami w rękę i ze szpadą w zębach przed drzwi. Szwed, który trzymał konia tuż przy drzwiach,

podał mu go natychmiast, król wskoczył nań i, skręciwszy koło samego węgła, rzucił się między lipy i ule, by tyłem wymknąć się z pola bitwy. Dobiegłszy do płotu, spiął konia, przesadził płot i wpadł w kupę rajtarów szwedzkich.

— W konie! — krzyknął Karol Gustaw.

I, obaliwszy pchnięciem szabli jeźdźca polskiego, który już wznosił nań szablę, jednym susem wy dostał się na błonie, za nim rajtarowie ruszyli całym pędem, jak stado jeleni, gnane przez psy, pędzi tam, gdzie je prowadzi rogacz przewodnik. Jeźdźcy polscy zwrócili za nimi konie i rozpoczęła się gonitwa. Jedni i drudzy wypadali na główną drogę, prowadzącą z Rudnika do Bojanówka, a tymczasem reszta Szwedów przed plebanią broniła się jednak z godną pochwałą odwagą. Lubo napadnięci niespodziewanie i zrazu bardzo prędko rozproszeni, równie prędko zebrali się przez to samo, że ich otoczono gęstą kupą koło błękitnego sztandaru. Ani jeden nie poprosił o pardon, ale, stanąwszy koń przy koniu, ramię przy ramieniu, bodli szablami tak zaciekle, iż przez chwilę zwycięstwo zdawało się chylić na ich stronę. Pan Szandarowski szalał, jak huragan, i wżerał się w Szwedów, jak zgłodniały wilk wżera się paszczą w mięso świeżo zduszonego konia, lecz jeden jeździec go furją przewyższał, a było nim pacholę, które pierwsze znać dało o Szwedach w Rudniku, a teraz skoczyło wraz z całą chorągwią na nieprzyjaciela. Księży źrebiec, trzylatek, który dotąd chadzał spokojnie po błoniu, naciskany przez konie, nie mogąc się wyrwać ze skrzętu, rzekłbyś: wściekł się, jak i pan jego; więc ze stulonemi uszami, z oczami wyszłemi na wierzch głowy, z najeżoną grzywą, parł naprzód, kąsał, wierzgał, Michałek zaś szablą, jak cepem, machał naoślep w prawo, w lewo, od ucha; płowa czupryna spłynęła mu krwią, ostrza szabel podziurawiły mu ramiona i uda, twarz miał pociętą, lecz owe rany podniecały go tylko. Bił się w zapamiętaniu, jak człowiek, który o własnem życiu zdesperował i pragnie tylko pomścić śmierć swoją. Tymczasem jednak zastęp szwedzki zmniejszał się, jak kupa śniegu, którą polewają ze wszystkich stron ukropem. Wreszcie koło królewskiej chorągwi zostało się tylko kilkunastu. Mrowie polskie pokryło ich zupełnie, a oni umierali ponuro, z zaciśniętymi zębami; żaden ręk nie wyciągnął, żaden nie zawołał o litość. Wtem w zamęcie rozległy się głosy: — Chorągiew brać! chorągiew!

Usłyszawszy to, Michałek zgnął sztychem żrebca i rzucił się, jak płomień, naprzód, gdy zaś każdy ze Szwedów, stojących przy sztandarze, miał na sobie dwóch lub trzech jeźdźców polskich, chłopak chlasnął chorążego szablą przez gębę, a ten ręce rozkrzyżował i pochylił się twarzą na grzywę końską. Błękitny sztandar upadł z nim razem. Najbliższy Szwed, krzyknąwszy okrutnie, chwycił natychmiast za drzewce, zaś chłopak ujął za płachtę, szarpnął, oddał w mgnieniu oka, zwinął ją w kłęb i, przyciskając obu rękami do piersi, począł wrzeszczeć w niebogłosy: — Mam, nie dam! mam, nie dam!

Ostatni, pozostali Szwedzi rzucili się na niego z wściekłością, jeden pchnął go jeszcze przez chorągiew i przeszył mu ramię, lecz w tej chwili rozniesiono wszystkich na szablach w puch. Zaczem kilkanaście krwawych rąk wyciągnęło się ku Michałkowi.

— Chorągiew, dawaj chorągiew! — zaczęto wołać. Szandarowski poskoczył mu z pomocą.

— Zaniechać go! On wziął w moich oczach, niech ją samemu Czarnieckiemu odda.

— Jedzie Czarniecki, jedzie... — ozwały się liczne głosy.

Jakoż zdala ozwały się wojenne okrzyki i na drodze ukazało się wojsko, pędzące w skok ku plebanii. Wreszcie przed ławę ludzi i koni wyjechał na tarantowatym dzianecie mąż, przybrany w burkę i czapkę z czaplem piórem, z pozłocistym buzdygarem w ręku. Widać go było doskonale, bo padały nań czerwone promienie słońca. Poskoczył Szandarowski z relacją do Czarnieckiego, tak zaś był spracowany, że z początku tchu złapać nie mógł, bo i dygotał, jak w febrze, i głos urywał mu się co chwila w gardzieli.

— Sam król był... nie wiem... jeżeli uszedł...

— Uszedł, uszedł! — ozwali się ci, którzy patrzeli na gonitwę.

— Chorągiew wzięta, trupa moc! Czarniecki, nie rzekłszy ni słowa, posunął się z koniem ku poboju, które okrutny i żalony przedstawiało widok. Przeszło dwieście trupów szwedzkich i polskich leżało mostem jeden tuż obok drugiego, często jeden na drugim. Niektórzy trzymali się za włosy, a znów inni dzierżyli się jakoby w braterskim objęciu.

Czarniecki w milczeniu objechał dokoła plebanii, popatrzył na trupy, leżące z drugiej strony za sadem, zadowolenie odbiło się na jego twarzy, zaczem powrócił zwolna na główne bojuwisko.

— Rzetelną tu widzę robotę — rzekł — i kontent jestem z waszmościów. Oni zaś wyrzucili krwawemi rękoma czapki w górę.

— Vivat Czarniecki!

— Daj Bóg drugie takie spotkanie!.. Vivat!... Vivat!..

A Czarniecki na to:

— Mości Szandarowski! a kto wziął chorągiew?

— Dawajcie pachółka! — zakrzyknął Szandarowski.

Żołnierze zaczęli szukać i znaleźli Michałka, siedzącego pod ścianą stajenną przy źrebcu, który padł z ran i ostatnie właśnie tchnienie wydawał. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że i chłopakowi niewiele się należy, trzymał jednak chorągiew obu rękami przy piersiach. Porwano Michałka natychmiast i przyprowadzono przed Czarnieckiego.

Stanął tedy bosy, rozczochrany, z nagą piersią, z koszulą i sukmaną w strzępach, zamazany krwią szwedzką i własną, jak nieboskie stworzenie, chwiejący się na nogach, ale z ogniem niezgasłym jeszcze w źrenicach. Zdumiał się pan Czarniecki na jego widok.

— Jakże to? — spytał — ten zdobył królewską chorągiew?

— Własną ręką i własną krwią — odparł Szandarowski. On także pierwszy dał znać o Szwedach, a potem w największym ukropie tyle dokazywał, że mnie samego i wszystkich zadziwił.

— Prawda jest! rzetelna prawda, jakoby kto spisał! — zakrzyknęli towarzysze.

— Jak ci na imię? — spytał chłopaka pan Czarniecki.

— Michałko.

— Czyj jesteś?

— Księży.

— Byłeś księży, ale będziesz swój własny! — odrzekł Czarniecki.

Lecz Michałko nie słyszał już ostatnich słów, bo z ran, z upływu krwi zachwiał się i padł głową na strzemię wodza.

— Wziąć go, dać mu wszelki starunek. Ja w tem, że na pierwszym sejmie równy on wszystkim waszmościom będzie stanem, jako duszą już dziś równy!
— Godzien tego, godzien! — zakrzyknęła szlachta.

Poczem wzięto Michałka na nosze i zaniesiono do plebanii. Zdawał się nieprzytomny, bo go krew ledwie nie ze wszystkim uszła, jednak poznał zakrystyana, gdy ten z płaczem do niego przypadł, otworzył oczy i szepnął słabym, jakby leciuchne wionięcie, głosem:

— A pamiętaj ta, tatulu, oddać panu Czarnieckiemu te kule i fuzye, co my je z jeziorka dostali.

— Oddam, oddam, synku, ino teraz leż spokojnie, aż ci razowego chleba z pajęczyną na rany zładuję. — Potem zaś obrócił się Piotr do czeladzi, która pół izby zaległa, i rzekł, wskazując na Michałka:

— Szlachcic on już jest, krwią se szlachectwo u matkiojczyzny kupił, a na sejmie pan Czarniecki papiery mu wyrobi, jako obiecał.

I stało się tak. Michałko szlachcicem został, po nim zaś jego synowie i wnuki. Tak bowiem urastali w znaczenie synowie polskiej ojczyzny, nie z soli ani z roli, tylko z tego, co boli, z ran, z czynów szlachetnych powstała szlachta.